



ma
ga
zyn

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Puls

Lodowato

Po raz pierwszy od 10 lat
na Wisłę musiały
wypłynąć lodołamacze

STR. 14-17

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Prof. Mania: Trump
nie buduje, bardziej
dezintegruje liberalny
ład międzynarodowy
STR. 8-9

Piotr Kuczyński:
W tym roku polska
gospodarka powinna
ruszyć z kopyta
STR. 6-7

w Pulsie
● AAA Pilnie zatrudnię osobę sprząającą,
czyli neutralne nazewnictwo w rekrucji STR. 18
● Iwona Krasoń-Forkasiewicz: Slow work, czyli jak
pracować, aby się zawodowo nie wypalić STR. 20
● Klocki tak fajne jak Lego, ale polskie STR. 22

*DZIŚ
Telemagazyn
i magazyn Puls*



W poniedziałek magazyn

● Jak Ukrainiec i Polak uratowali dwie dziewczynki, pod którymi załamał się lód. Dlaczego ta sprawa wywołała morze hejtu w mediach społecznościowych?

Janusz Michalczyk
publicysta



MAJDAN I SZERYF NA ROWERZE

Nic tak nie poprawia ludziom nastroju jak obśmianie celebryty. Ostatnio była ku temu okazja, gdy obywatel prowadzący na You Tube kanał Samochodoza zaprezentował filmik z Radosławem Majdanem, byłym piłkarzem, a obecnie komentatorem, biznesmenem i mężem znanej z telewizji Małgorzaty Rozenek-Majdan. Trzeba zaznaczyć, że - jak sama nazwa wskazuje - Samochodoza powstała po to, by piętnować niewłaściwe zachowania kierowców, np. parkowanie gdzie popadnie. I o to właśnie chodzi w filmiku, na którym wspiera Majdana przewyższająca go agresją anonimowa pani, przy czym w powietrzu gęsto lata niecenzuralne słowo na „k”. A poszło o to, że jadący na rowerze autor filmiku pozaginał lusterka boczne aut stojących na ścieżce przeznaczonej dla jednośladów. Tak kierowcom pasowało, bo tuż obok mieści się szkoła, do której rano odwożą, a skąd po południu zabierają dzieci.

W całej awanturze chodzi zatem o to, że samowolny szeryf na rowerze osmielił się naruszyć w sposób niebezpieczny substancję pojazdów. Jego zdaniem w celach edukacyjnych, by łamiący przepisy zreflektowali się i zmienili zachowanie. Niestety, nic nie wskazuje na to, by osiągnął swój cel. Napiętnowany w przestrzeni publicznej Majdan wydał oświadczenie, z którego wynika, że podjął wrzaskliwą interwencję, by chronić dzieci i kobiety przed rzekomą agresją ze strony zamaskowanego osobnika na rowerze. Jak widać, zastosował starą piłkarską zasadę, że najlepszą obroną jest atak.

Dla równowagi wypada dodać, że twórca Samochodozy swobodnie rewanżuje się adwersarzom słowem na „k” w spontanicznej wymianie zdań. Obie strony konfliktu krzyczą wulgarnie do siebie, dając upust emocjom, ale pozostają głusi na przeciwne argumenty. Nasuwa się pytanie, czy zamiast zaginania lusterek nie lepiej byłoby zawiadomić straż miejską, która mogłaby rzeczowo pouczyć kierowców, zaś niesformym wręczyć mandaty?

Sfilmowana pyskówka świetnie wpisuje się w obecną atmosferę społeczną, w której wielu ludzi czuje się upoważnionych do bezkompromisowego krytykowania innych, jakby sami nigdy nie splamili się żadnym wykroczeniem. Chyba coś to o nas mówi...

”

Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej podczas grudniowych ataków. (...) Gdyby atak się powiodł, nawet 500 tys. ludzi zostałoby pozbawionych ciepła

premier Donald Tusk o cyberatakach na infrastrukturę krytyczną

CZEGO NAUCZAĆ UCZNIÓW ZE SMARTFONAMI?

Studentenci, dla których prowadzę wykłady, a także uczniowie szkół średnich oraz podstawowych, stali się trudni do nauczania, bo mają smartfony, pozyskują z ich pomocą mnóstwo wiadomości (nie zawsze prawdziwych) i trudno ich przekonać, że tradycyjne nauczanie ma nadal sens. A jednak tradycyjny cel edukacji pozostał niezmienny: dążymy do tego, żeby ludzie zdobyli umiejętność podejmowania trafnych decyzji. Do tego celu potrzebne jest posiadanie: wiedzy, umiejętności rozumowania oraz systemu wartości.

Wiedzę kiedyś zdobywało się z dużym trudem, ale obecnie można ją pozyskać w każdej chwili z internetu. Żeby jednak tę wiedzę we właściwy sposób wykorzystać, trzeba przeprowadzić rozumowanie, na które składa się: kojarzenie faktów, dedukcja (wyciąganie konkretnych wniosków na podstawie ogólnych przesłanek) oraz indukcja (budowa ogólnej reguły na podstawie znanych szczegółowych faktów). Tu potrzebna jest mądrość, którą zdobywa się w trakcie edukacji, bo nie można jej „wygooglać”

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



Dodatkowo potrzebne jest wartościowanie prowadzące do decyzji. Koncepcja wartościowania jest złożona i jest w sposób ogólny przedmiotem badań dyscypliny naukowej, która się nazywa aksjologią, jednak w praktyce prowadzi się do rozstrzygnięcia kilku dylematów. Na przykład czy to, co oceniamy jest ważne - czy nieważne? Albo patrząc z innej perspektywy: czy to jest cenne - czy mało wartościowe? A także biorąc pod uwagę element etyczny: czy to jest dobre - czy złe?

Wartościowanie jest ważne, bo internet zawiera wszystko - i zaprzeczenie wszystkiego. Prawdę i fałsz. A uczeń czy student musi wiedzieć, co jest czym! Nie jest to łatwe, bo motywacje tych, którzy dostarczają wiadomości do internetu, bynajmniej nie polegają na tym, żeby dostarczyć treści o wysokiej wartości i jakości. Treść jest dla nich tylko wabikiem do reklamy, a korzyści uzyskują oni

generując ruch w sieci. Treść ma więc być krótka, żeby uzyskać większą gęstość reklam, oraz atrakcyjna, to znaczy raczej skandalizująca, a nie wartościowa, w szczególności prawdziwa. Co więcej, ta treść ma być dostępna natychmiast!

Ale poza cyberprzestrzenią oczekiwanie natychmiastowości jest naiwnością. W szczególności nie można natychmiast nabyć umiejętności!

Tymczasem rynek pracy wymaga umiejętności. Pracodawca nie poszukuje ludzi do wynajęcia. On potrzebuje kompetencji do wynajęcia! Pożądane cechy decydujące o karierze zawodowej to samodzielność w rozwiązywaniu problemów, umiejętność współpracy w zespole, stała aktualizacja wiedzy, innowacyjność i kreatywność. Takie cechy wypracowuje dobra edukacja. Ze smartfona tego wyssać nie można!

Edukacja opiera się na roli nauczyciela. Mało komu

i mało kiedy udaje się zrealizować edukację na zasadzie „mistrz - uczeń”. To jest możliwe na przykład na studiach doktorskich, gdzie promotor może przemierzać ścieżki odkryć naukowych wraz z doktorantem. Typowy jest jednak układ: wielu specjalizowanych mistrzów i uczniowie, z których każdy korzysta z mądrości owych nauczycieli na swój unikatowy sposób. To działa na dobrych uczelniach i w dobrych szkołach

Natomiast nieefektywny jest układ, gdy uczeń usiłuje się edukować, mając do dyspozycji praktycznie nieskończoną liczbę mistrzów w postaci osób lub instytucji wypełniających internet swoimi wiadomościami. Taki model oznacza zagubienie ucznia i przypadkowość wyniku edukacji!

Używam określenia „mistrz” dla podkreślenia roli nauczyciela w procesie edukacji. Nauczyciele przestali już być źródłem wiedzy, bo tę uczeń łatwo pozyska z internetu. Muszą jednak pomagać odróżniać wiedzę prawdziwą od fałszywej, powinni być animatorami różnych działań i przewodnikami w ich realizacji oraz arbitrami wartościującymi działania.

SKOŃCZCIE JUŻ Z TYM GADANIEM, ŻE JESTEŚMY POTĘGĄ

Zima w tym roku mocno trzyma, tak jakby czuła, że zbliżają się XXV Zimowe Igrzyska w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo (6-22 lutego) i nie chciałaby sprawić zawodu organizatorom i najlepszym zawodnikom.

Ci ostatni szykują się na wyjazd do Włoch głównie w roli turystów, bo poza panczenistami i alpejką Maryną Gąsienicą-Daniel formą naszych sportowców pozostawia wiele do życzenia. Nic dziwnego, że prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz zadeklarował rekordowe kwoty dla przy-

Radosław Patroniak
publicysta



szłych medalistów. Za dużo to on nie ryzykuje, bo jak się nie specjalnego nie wydarzy, to sporo kasy zostanie mu na budżet reprezentacyjny.

Z jeszcze większym podziwem niż jego determinację do trwania na dobrze płatnym stołku obserwuję wytrwałość stacji TVN i Eurosport w promowaniu skoków narciarskich - niegdyś naszego sportu naro-

dowego numer 1, zwłaszcza zimą, no bo latem nasi „lotnicy” spadali w hierarchii na pewno za piłkę nożną i siatkówkę, a być może też za koszykówkę i sporty walki.

Od trzech lat kadra skoczków jest w totalnym kryzysie, a dziennikarze telewizyjni, w sile siedmiu osób, przy okazji każdego konkursu zakłamują rzeczywistość i wma-

wiają nam, że idzie ku lepszemu. Notorycznie otumanią ludzi, a ich siła oddziaływania jest tak duża, że minister sportu, Wielkopolanin Jakub Rutnicki, przeznaczył na Polski Związek Narciarski kwotę ponad 12 mln zł (na szczęście te pieniądze trafiają nie tylko do skoczków, ale też m.in. do biegaczy, alpejczyków i biathlonistów).

Minister Rutnicki, były piłkarz amator z Pniew, robi mnóstwo dobrych rzeczy i potrafi zachęcić młodzież do uprawiania sportu, ale skończyć z tezą, że jesteśmy potęgą w skokach narciarskich jeszcze nie umie...

Z CZEGO JUTRO ...? JAK OSTRE SPLĄTANIE SYSTEMU ZAMIENIĆ NA PRZYSPIESZENIE PRZYSZŁOŚCI?

Pięć i pół dekady temu w przeprowadzonym przez Josepha Hafelea i Richarda Keatinga eksperymencie otrzymali oni w warunkach rzeczywistych bezpośredni i empiryczny dowód na istnienie dylatacji czasu i tym samym potwierdzili zarówno szczególną, jak i ogólną teorię względności Alberta Einsteina dotyczącą czasu, przestrzeni i grawitacji. Zweryfikowali dwa efekty przewidziane przez teorię względności, czyli dylatację czasu wynikającą z ruchu w ramach szczególnej teorii względności, w której poruszający się zegar chodzi wolniej niż zegar w spoczynku oraz dylatację czasu, która jest efektem grawitacji na gruncie ogólnej teorii względności, gdzie zegar w silniejszym polu grawitacyjnym znajdującym się bliżej Ziemi chodzi wolniej niż zegar w słabszym polu położonym dalej od niej. W eksperymencie J. Hafele i R. Keating użyli cztery bardzo precyzyjne zegary atomowe, które umieścili na pokładach komercyjnych samolotów pasażerskich. Okrążyły one Ziemię, dwu-

Andrzej Sadowski

Centrum. im. Adama Smitha



krotnie raz lecąc na wschód, a raz na zachód. Następnie porównali wskazania umieszczonych na ich pokładach „podróżujących” zegarów z identycznym zegarem pozostałym w The United States Naval Observatory w Waszyngtonie. Po skorygowaniu danych m.in. o efekty grawitacyjne i prędkości obrotu Ziemi naukowcy odkryli, że odczyty z zegarów różniły się od tego naziemnego dokładnie w sposób przewidziany przez teorię względności. Zegar lecący na wschód, czyli w kierunku zgodnym z obrotem Ziemi, czyli mający większą prędkość względem układu inercjalnego „spóźnił się” o 59 ± 10 nanosekund, a zegar lecący na zachód przeciwnie do jej obrotu, czyli wolniejszy względem układu inercjalnego „wyprzedził” zegar naziemny o 273 ± 7 nanosekund. Różnice te były wypadkową

konkurencyjnych efektów, bowiem „efekt grawitacyjny” z ogólnej teorii względności powodował, że zegary w samolocie będąc wyżej w słabszym polu grawitacyjnym „przyspieszały” względem naziemnego. Natomiast „efekt kinematyczny” ze szczególnej teorii względności sprawiał, że zegary w ruchu „zwalniały” względem nieruchomego znajdującego się na Ziemi. W eksperymencie Hafele-Keatinga w przypadku lotu na wschód dylatacja kinematyczna przeważała nad grawitacyjną, a dla lotu na zachód było odwrotnie. Eksperyment ten potwierdził przewidywania zarówno szczególnej teorii względności o wpływie prędkości, jak i ogólnej teorii względności o wpływie grawitacji. Udowodnił, że czas płynie wolniej dla obiektów poruszających się z dużą prędkością oraz

szybciej w słabszym polu grawitacyjnym, czyli na większej wysokości.

Dzięki przeprowadzonemu eksperymentowi współczesne technologie m.in. jak Global Positioning System precyzyjnie prowadzą nas do celu, bo na bieżąco mogą korygować efekty z niego wynikające. Ponadto eksperyment udowodnił, że czas nie jest absolutny, a zależy od prędkości i grawitacji.

Jeżeli możemy wpływać na czas to tym bardziej na radykalnie niższej kategorii wymiary naszej egzystencji w tym i jakości życia. Na poziomie tej jakości coraz bardziej dotkliwie dla obywatela wpływa głębokość – niczym nieuzasadniona poza ingerencją dla samego rozrostu władzy – kontroli i penetracji jego aktywności przez szczegółowość przepisów oraz aparat je interpretujący. System coraz bardziej drobiazgowej kontroli – czego przykładem są np. przepisy, że każde zorganizowane spotkanie samochodowe, które nie zostało zgłoszone i zatwierdzone przez gminę, może zostać uznane za nielegalne, a także nie-

ustannie podejmowane próby wprowadzenia przepisów likwidujących konstytucyjne prawo do wolności słowa – pochłania i wymaga coraz większych zasobów czasu, energii oraz ludzi.

W Polsce zapowiadane przyspieszenie dokona się wówczas, gdy zamiast podawania do publicznej wiadomości o ile wzrosną wydatki i ile władza wyda pieniędzy dowiemy się, ile czasu w naszym życiu zostanie zaoszczędzone lub nie zmarnowane, ponieważ zlikwidowano uciążliwe przepisy, które poza mitrzeniem tegoż czasu i energii nie służyły niczemu innemu. Spadek inwestycji w Polsce nie jest spowodowany brakiem środków publicznych oraz kapitałów prywatnych ale przede wszystkim nie występującego w innych państwach Unii Europejskiej ostremu splątaniu przepisów, procedur i struktur kompetencji dublujących się urzędów oraz zmienności w czasie interpretacji przepisów nie tylko podatkowych. Zapaść inwestycji jest skutkiem tegoż ostrego splątania, którego jak akupunktura punktowo wybiórca deregulacja nie jest w stanie jakościowo zmienić. Problemem nie jest nieskuteczność deregulacji tylko jej niezwykle wąski i zredukowany do trzeciorzędnych kwestii

charakter. Jeżeli „deregulacja Brzoski” nie przynosi zauważalnego dla „osób przedsiębiorczych” obniżenia kosztów i zaangażowanego czasu w ich działalności, to nie będzie wiarygodnego i mocnego punktu oparcia dla przyspieszenia, które jest poza wszelką dyskusją koniecznością na miarę utrzymania państwowości.

W systemie dramatycznego i beztroskiego marnowania krytycznego zasobu czasu oraz ograniczonych zasobów pieniędzy przy topniejącej liczbie aktywnych zawodowo obywateli racją stanu państwa polskiego jest bezwarunkowe przyspieszenie a nie modyfikacje. Raz już w Polsce doszło do przyspieszenia za sprawą ustawy Wilczka, która jednym aktem likwidowała prawie wszystkie złogi socjalistycznego spętania gospodarki. Dalsze poszukiwanie trzeciej drogi w „zrównoważonym rozwoju przepisów”, kiedy system nie przechodzi termicznego stress testu to zaciśnięcie pętli czasowej w sytuacji rosnącego prawdopodobieństwa ataku zagranicznego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

REKLAMA

0011460141

Polska i Europa – czas na nowy porządek. Ważna debata w lutym w Warszawie

Współczesny świat znajduje się w fazie głębokiej przebudowy. Dotychczasowy porządek międzynarodowy ulega erozji, a na jego miejsce nie wyłonił się jeszcze nowy, stabilny układ sił. Gospodarka globalna coraz silniej funkcjonuje w cieniu geopolityki, gdzie wojny, rywalizacja mocarstw, kryzysy migracyjne i narastające turbulencje polityczne wpływają bezpośrednio na decyzje ekonomiczne, łańcuchy dostaw oraz tempo rozwoju poszczególnych państw.

Konflikty zbrojne unaoczniały, jak kruche są fundamenty bezpieczeństwa energetycznego, żywnościowego i technologicznego. W tym nowym, niepewnym otoczeniu Polska i Europa stają wobec fundamentalnych wyzwań. Bezpieczeństwo i niezależność – energetyczna, technologiczna i militarna – przestają być jedynie hasłami, a stają się strategicznymi priorytetami. To właśnie te przemiany i wyzwania będą głównym tematem debat podczas konferencji **EEC Trends**, która odbędzie się **9 lutego 2026 r.** w hotelu **Sheraton Grand Warsaw**. Tradycyjnie EEC Trends zgromadzi liderów życia gospodarczego, przedstawicieli administracji, in-

westorów i analityków, którzy poszukają odpowiedzi na pytania o przyszłość polskiej gospodarki w dynamicznym świecie. Swoją udział potwierdzili już m.in. **Mirosław Czekaj**, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego; **Krzysztof Dresler**, wiceprezes PKO Banku Polskiego; **Agnieszka Kubera**, prezeska Accenture w Polsce; **Katarzyna Lubnauer**, sekretarz stanu Ministerstwa Edukacji Narodowej; **Kamil Majczak**, prezes Grupy Qemetica; **Renata Mroczek**, prezes Urzędu Regulacji Energetyki; **Michał H. Mrozek**, wiceprezes ING Banku Śląskiego; **Bartłomiej Pejo**, poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowo-

czesnych Technologii; **Piotr Wyborski**, prezes PKP Polskich Linii Kolejowych. W czasie uroczystej gali towarzyszącej EEC Trends wrę-

czone zostaną statuetki **WNP Awards**. Prestiżowe wyróżnienia przyznawane są przez redakcję portalu WNP osobom, instytucjom i firmom,

które w szczególny sposób wpływają na rozwój polskiej gospodarki. Nagrody trafiają do tych, którzy poprzez swoją aktywność, odwagę

w działaniu i umiejętność przewidywania zmian wyznaczają nowe kierunki rozwoju – dla branż, sektorów i całej gospodarki.



Konia z rządem powinno się przyznać osobie, która zdolała prawidłowo ułożyć mapę najbardziej zapalnych punktów świata w przyszłym tygodniu. Od początku roku bowiem sytuacja na całym globie zmienia się niczym w kalejdoskopie. Gdy uwaga wszystkich skupiona była na rozmowach pokojowych między Ukrainą i Rosją, USA podjęły zaskakującą decyzję o fizycznym usunięciu prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro z urzędu i z szokującą precyzją tę operację przeprowadziły.

Przy okazji zmian na szczytach władzy w Wenezueli, natychmiast pojawiły się spekulacje o przyszłości Kuby – a amerykańska administracja chętnie je podsyciała. Jeszcze więcej emocji ogniskuje się wokół Grenlandii. Donald Trump nie ukrywa, że zależy mu na przejęciu kontroli nad tą wyspą, co z kolei wywołuje zrozumiałe sprzeciw krajów europejskich. Francja i Niemcy zapowiedziały nawet wysłanie niewielkich kontyngentów wojskowych, na wypadek gdyby USA zdecydowały się zbrojnie anektować to terytorium zależne Danii.

Ale obecnie, w trzecim tygodniu 2026 r., najbardziej gorąco jest w Iranie. Od grudnia trwają tam coraz bardziej gwałtowne protesty przeciwko reżimowi

ajatollahów, z kolei Stany Zjednoczone nie ukrywają, że są gotowe nawet użyć siły, żeby zatrzymać przelew krwi w tym kraju.

Prezydent USA Donald Trump jasno powiedział, że jeśli rządzący krajem reżim będzie brutalnie tłamsił protesty, to zdecyduje się na interwencję. Ale w środę zmienił zdanie. Zasugerował, że może odstąpić od uderzenia na Iran, jeśli władze tego kraju zrezygnują z egzekucji antyrządowych demonstrantów. Wcześniej szef irańskiego sądownictwa Gholamhossein Mohseni-Ejei oświadczył, że chce jak najszybszych wyroków i surowych kar dla protestujących.

O tym, że USA mają przeprowadzić atak na Iran, donosiła

agencja Reutersa. W środę Polska, Włochy i Hiszpania wezwwały swoich obywateli do natychmiastowego opuszczenia Iranu, a Wielka Brytania zamknęła ambasadę w Teheranie.

Wcześniej Trump groził Iranowi interwencją w związku z brutalnie dławionymi antyrządowymi protestami i zapowiadany przez irańskie władze wyrokami śmierci wobec demonstrantów.

Po ogłoszonych w środę słowach Trumpa o tym, że zamierza się przyglądać sytuacji, przygotowania do uderzenia na Iran zostały – według amerykańskich mediów – wstrzymane. Pentagon miał zdecydować o powrocie żołnierzy USA do bazy Al-Udeid w Katarze, częściowo ewakuowanej

w związku z możliwością irańskiego kontruderzenia, wstrzymano także przygotowania bombowców w Stanach Zjednoczonych, które zostały wcześniej postawione w stan podwyższonej gotowości.

Dziennik „New York Times” ocenił, że jeśli jednak Trump zdecyduje się na atak militarny, to dojdzie do niego co najmniej za kilka dni. Według NBC News, doradcy nie dali Trumpowi gwarancji, że uderzenie doprowadzi do upadku reżimu w Teheranie.

Wcześniej władze Iranu wydały komunikat o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad krajem dla wszystkich lotów poza międzynarodowymi rejsami z i do Teheranu, posiadającymi zgodę miejscowych władz. Nie podano powodu za-

mknięcia przestrzeni powietrznej, lecz decyzja została ogłoszona na tle doniesień o możliwym uderzeniu USA na Iran.

Sędzia Sądu Najwyższego i szef irańskiego sądownictwa Gholamhossein Mohseni-Ejei zapowiedział, że uczestnicy protestów powinni zostać jak najszybciej osądzeni i ukarani. Zaznaczył, że może grozić im kara śmierci. Zdaniem Amnesty International, w Iranie wykonywanych jest kilkadziesiąt egzekucji rocznie; więcej tylko w Chinach.

W irańskich mediach państwowych ukazało się blisko sto nagrań, na których zarejestrowano zeznania i wypowiedzi aresztowanych uczestników masowych protestów.

Rząd w Teheranie zwrócił się do innych krajów Bliskiego

Wschodu z apelem o podjęcie działań, które powstrzymają Stany Zjednoczone przed atakiem. Reuters podał, że Iran ostrzegł też kraje regionu, od Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich po Turcję, że w razie ataku USA odpowie uderzeniami na amerykańskie bazy znajdujące się na ich terytoriach.

Uzbrojone grupy kurdyjskich separatystów próbowały przedostać się z Iraku do Iranu i starły się z tamtejszą Gwardią Rewolucyjną. Kurdowie, będący jedną z największych mniejszości etnicznych zamieszkujących wielonarodową Islamską Republikę Iranu, próbują wykorzystać niestabilność w Iranie wywołaną trwającymi od tygodni brutalnie tłumionymi zamieszkami.

Jak długo reżim ajatollahów wytrzyma presję ze strony Irańczyków i Stanów Zjednoczonych?

W Iranie od tygodni trwają gwałtowne protesty przeciwko władzy, Stany Zjednoczone otwarcie mówią, że są gotowe do zbrojnej interwencji. Czy czeka nas kolejna wojna na Bliskim Wschodzie?

Agaton Koziński

REKLAMA

0011460131

4 Design Days 2026 – dekada rozmów o architekturze i przyszłości miast

W dniach 22–23 stycznia 2026 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach ponownie stanie się stolicą polskiej architektury, designu i debaty o jakości przestrzeni. Jubileuszowa, 10. edycja 4 Design Days będzie nie tylko okazją do świętowania dekady istnienia wydarzenia, ale także momentem podsumowania zmian, jakie zaszły w podejściu do projektowania miast, budynków i wnętrz od pierwszej edycji w 2016 roku. Przez dziesięć lat 4DD konsekwentnie budowało przestrzeń dialogu pomiędzy architektami, projektantami, inwestorami, samorządowcami i przedstawicielami biznesu – środowiskami, które realnie wpływają na wygląd i funkcjonowanie naszych miast.

Goście specjaliści i merytoryczne wyzwania

Tegoroczną odstonę wydarzenia uświetnią dwie międzynarodowe osobowości świata architektury. Do Katowic przyjedzie David Sim – szkocki architekt i urbanista, autor głośnej książki „Soft



City” („Miasto życzliwe”), uznawanej za jedną z najważniejszych publikacji ostatnich lat poświęconych projektowaniu miast przyjaznych człowiekowi. Sim od lat przekazuje, że dobra architektura zaczyna się od skali człowieka, relacji społecznych i jakości codziennych doświadczeń użytkowników przestrzeni.

Drugim gościem specjalnym będzie Jonas Norsted, współzałożyciel norweskiej pracowni Atelier Oslo, znanej

z realizacji opartych na adaptacji i przekształcaniu istniejących budynków. W jego dorobku znajdują się m.in. nagradzana Biblioteka Deichmana w Oslo czy przebudowy ważnych obiektów publicznych. Norsted w swoich wystąpieniach często podkreśla, że przyszłość architektury leży nie w burzeniu, lecz w mądrym przetwarzaniu tego, co już istnieje.

Obaj architekci wezmą udział w kluczowych deba-

tach poświęconych jakości przestrzeni, odpowiedzialnemu projektowaniu i wyzwaniom, przed jakimi stoi współczesne miasto.

Program skupiony na realnych problemach

Program jubileuszowej edycji skoncentruje się na najbardziej aktualnych tematach branży: zrównoważonym budownictwie, kryzysie klimatycznym, odpowiedzialności społecznej projek-

tantów, innowacjach technologicznych oraz nowych kierunkach w architekturze i projektowaniu wnętrz. Dyskusje będą dotyczyć m.in. tego, jak projektować budynki odporne na zmiany klimatu, jak tworzyć przestrzenie dostępne dla różnych grup użytkowników oraz jak łączyć estetykę z funkcjonalnością.

Wśród potwierdzonych prelegentów znaleźli się czołowi polscy twórcy i eksperci, m.in. Tomasz Konior, Robert Konieczny, Przemysław Łukasik, Agnieszka Kalinowska-Sołtys, a także przedstawiciele świata biznesu, administracji i rynku nieruchomości. Łącznie program obejmuje już ponad 100 nazwisk z różnych obszarów branży.

Wieczór najlepszej architektury

Integralnym elementem 4 Design Days będzie finał konkursu Property Design Awards. 22 stycznia o godz. 19.00 odbędzie się uroczysta Gala, podczas której poznamy laureatów nagród w kategoriach architektonicznych i wnętrzarskich oraz zdobywców

specjalnych tytułów dekady, podsumowujących ostatnie dziesięć lat polskiej architektury. Drugiego dnia wydarzenia wręczone zostaną także nagrody w konkursie Dobry Design, promującym projekty łączące estetykę, funkcjonalność i odpowiedzialność środowiskową.

W ramach wydarzenia zaplanowano również Property Forum: Pomysł na Miasto – spotkanie poświęcone kierunkom rozwoju polskich miast, w którym udział wezmą deweloperzy, samorządowcy, urbanisci i eksperci rynku nieruchomości. Dyskusje dotyczyć będą m.in. transformacji terenów poprzemysłowych, jakości przestrzeni publicznych oraz roli inwestycji w budowaniu atrakcyjnych i funkcjonalnych metropolii.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days potwierdza, że Katowice na początku roku ponownie staną się miejscem ważnych rozmów o przyszłości przestrzeni, w której żyjemy i pracujemy. Rejestracja uczestników trwa na stronie organizatora.



FOT. AP/PEPA/ABIR SULTAN

Protesty przeciwko reżimowi ajatollahów wybuchły na całym świecie, otwarcie wspierają je Stany Zjednoczone. Czy to wystarczy do tego, by w Iranie doszło do zmian?

Portal Axios podał we wtorek, że specjalny wysłannik prezydenta USA Steve Witkoff spotkał się w miniony weekend z synem byłego szacha Iranu Rezą Pahlawim i rozmawiał z nim na temat protestów, co było pierwszym takim kontaktem między Białym Domem i przedstawicielem irańskiej opozycji od czasu rozpoczęcia antyrządowych protestów w Iranie.

Władze wielu państw zastrzyły też ostrzeżenia przed podróżami do Iranu, powołując się na pogarszające się warunki bezpieczeństwa. USA wezwały we wtorek obywateli do natychmiastowego wyjazdu, ostrzegając przed ryzykiem zatrzymania. Podobne zalecenia wydały Indie, Kanada, Pakistan i Kuwejt.

Unikania podróży do Iranu doradzają także kraje europej-

skie, w tym Hiszpania, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Irlandia, a także Australia i Nowa Zelandia. Wielka Brytania zamknęła w środę swoją ambasadę w Teheranie, a brytyjskie MSZ zaapelowało do obywateli już obecnych w Iranie o „dokładne rozważenie zasadności dalszego pobytu”.

Protesty w Iranie wybuchły 28 grudnia w reakcji na pogarszającą się sytuację ekono-

miczną, po czym szybko ogarnęły cały kraj i przerodziły w jeden z największych od lat zrywów społecznych przeciwko irańskiemu reżimowi.

Według różnych szacunków mediów i organizacji pozarządowych podczas tłumienia protestów siły bezpieczeństwa zabiły od kilkuset do nawet 20 tys. osób, jednak ze względu na wprowadzoną przez Teheran w czwartek blokadę internetu trudno uzyskać sprawdzone informacje dotyczące bieżących wydarzeń.

Eksperti są podzieleni w ocenie tego, co się w Iranie może wydarzyć w najbliższych dniach. - Obecne wydarzenia w Iranie to kolejny punkt zwrotny w historii tego kraju - uważa Urszula Pytkowska-Jakimczyk z Wydziału Kultur Azji i Afryki Uniwersytetu Warszawskiego. Podkreśliła, że strajk drobnych kupców, tzw. bazari (od perskiego bazar - rynek, targ), nie był nagłym i niespodziewanym wybuchem buntu, ale efektem „narastających od kilku lat i pogłębiających się trudności gospodarczych”. Kulminacją obecnych protestów było zaś wydarzenie sprzed dwóch tygodni, kiedy to „bazari nie otworzyli swoich sklepów, bo zwyczajnie przestało im się to opłacać”.

- To efekt zarówno złego zarządzania państwem i korupcji, czego najbardziej wyraź-

nym przejawem były pogłębiające się różnice w zamożności między ogółem społeczeństwa a warstwą rządzącą, ale także skutek sankcji ekonomicznych nałożonych na Iran przez państwa zachodnie - powiedziała Pytkowska-Jakimczyk.

- Ludzie mają dość ajatollahów, rządu, Strażników Rewolucji i całego aparatu władzy, który pokazał przede wszystkim, że umie dbać o siebie, a kompletnie lekceważy obywateli i bynajmniej nie chodzi tu o rozdawnictwo środków czy dóbr - podkreśliła iranistka z UW, dodając, że stopień determinacji jest tak duży, że „doszło do co najmniej kilku, o ile nie kilkunastu przypadków podpażeń meczetów, co jeszcze niedawno wydawało się nie do pomyślenia”.

- Społeczeństwo nie kryje, że jest gotowe zaakceptować powrót syna szacha, Cyrusa Rezy Pahlawiego, który mieszka w USA, nawet jeśli odbędzie się to z pomocą Ameryki, a nawet Izraela - podkreśliła rozmówczyni PAP. Dodała, że w dość powszechnym odczuciu irańskiej ulicy „można przymknąć oczy na »spisek amerykańsko-żydowski« (jak w propagandzie Teheranu określa się działania wymierzone w rząd Islamskiej Republiki Iranu), byle doprowadzić do zmiany władzy”.

Inaczej to widzi włoski pisarz, publicysta i dziennikarz

opiniotwórczego portalu Chora Media, Simone Pieranni. Według niego obecne protesty jasno pokazują słabość rządzącego w Iranie reżimu, ale też dodaje, że on wcale nie jest tak słaby, jak się może obecnie зда- wać.

- Protesty pokazują słabość w sensie utraty kontroli nad społeczeństwem, niezdolność do zrozumienia zmian demograficznych, a to jest bardzo młoda populacja. - Represje wobec uczestników protestów i liczby dotyczące ofiar oraz wcześniejsza zapowiedź szybkiego wykonywania wyroków śmierci zdają się wskazywać na to, że aparat władzy wciąż trzyma się mocno - podkreślił Pieranni.

Co wydarzy się dalej? - Z Trumpem oczywiście może wydarzyć się wszystko. Wydarzenia wewnętrzne w Iranie pokazały, że tamtejszy teokratyczny reżim nie ma żadnej woli wysłuchania protestów. Podkreślił, że są one motywowane nie tylko kwestiami politycznymi, ale także ekonomicznymi.

- Reżim dokonał jednoznacznego wyboru, a są nim masakry tych, którzy uczestniczyli w protestach, uczestniczą lub sprawiają wrażenie, że protestują - dodał rozmówca. Jego zdaniem interwencja amerykańskich sił w Iranie jest możliwa.

PAP

REKLAMA

0011461217

Wybieramy najpiękniejsze zdjęcia miast w dobroczynnym konkursie „Świeć się z Energa”. Głosujcie i pomagajcie, to już ostatnie dni!

Miejscowości w całej Polsce wciąż są rozświetlone i pełne blasku. Możecie je podziwiać także w naszej świątecznej galerii fotografii i głosować. Bo w konkursie „Świeć się z Energa” nie chodzi tylko o piękne iluminacje. Chodzi o coś znacznie ważniejszego - o rodziny, seniorów, dzieci... O potrzebujących, którzy dzięki Waszemu zaangażowaniu już wkrótce mogą otrzymać wsparcie.

Każdy głos ma znaczenie, każdy głos to szansa dla miasta na wygraną w dobroczynnym plebiscycie. Wasze zaangażowanie może odmienić codzienność wielu osób, które znalazły się w trudnej sytuacji. Pokażcie, że lokalna społeczność to ogromna siła i do 21 stycznia codziennie oddajcie na stronie internetowej naszego dziennika 10 bezpłatnych głosów. Mobilizujcie rodzinę, zachęcajcie do tego znajomych, koniecznie udostępniajcie plebiscytowe posty w mediach społecznościowych!



Dwa etapy konkursu z wyjątkowymi nagrodami

Do wojewódzkiego etapu konkursu trafi 16 miejscowości, a każda z nich otrzyma od Energi nagrodę o wartości 10 tys. zł na zakup sprzętu AGD: lodówek, pralek,

zmywarek, blenderów... Ten zaś zasili miejsca, w których jest najbardziej potrzebny - trafi do domów pomocy społecznej, placówek edukacyjnych i opiekuńczych, a także do osób zmagających się z codziennymi wyzwaniami.

Zwycięskie samorządy zdecydują, gdzie dokładnie popłynie ta pomoc. W kolejnej odsłonie - już w wielkim finale - miasta będą się ubiegały o tytuł Świetlnej Stolicy Polski. A stawka jest naprawdę wysoka: to

dodatkowe 50 tys. zł wsparcia dla mieszkańców i lokalnych instytucji!

„Świeć się z Energa”. Razem możemy więcej

Od lat włączamy w tę akcję całe miasta - od największych



Energa | GRUPA RLEN

po najmniejsze. Wspólnie budujemy więzi, wzmacniamy poczucie wspólnoty i przypominamy, że w świątecznym i noworocznym czasie szczególnie warto być razem.

- Przez ponad 15 lat przekazaliśmy już pomoc o wartości ponad 2 milionów złotych. To piękna, wspólna energia. I bardzo konkretna dobroczynność. Jako Energa i Fundacja Energa robimy oczywiście dużo więcej, bo Energa włącza dobroczynność i prospołeczne działania przez cały rok - mówi Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

Co będzie gospodarczym wydarzeniem roku 2026? Globalny krach giełdowy?

O krachu giełdowym analitycy piszą już mniej więcej od dwóch lat. A giełdy ciągle rosną.

Część analityków widzi przestrzeń do wzrostów rzędu kilkunastu procent także w tym roku.

Są tacy, są i tacy. Wiele pisze o krachu, bo tego typu prognozy lepiej się przebija niż pisanie o super wzrostach. Tymczasem tak naprawdę tego typu sytuacji jak krach nie da się przewidzieć. Każde tego typu zdarzenie jest nieprzewidywalne - bo gdyby było przewidywalne, to by ich nie było.

Giełdy - czy to w Nowym Jorku, czy w Warszawie - rosną nieprzerwanie od 2022 r., bijąc kolejne historyczne rekordy. To realna wycena, czy już bańka w Pana ocenie?

Jeżeli chodzi o polską giełdę, to trudno mówić o bańce, dlatego że akcje w Warszawie są - w stosunku do innych giełd - relatywnie tanie. Poza tym gospodarka w tym roku powinna ruszyć naprawdę z kopyta. To będzie szczytowy rok, spodziewam się, że 2027 r. może okazać się gorszy.

Na czym opiera Pan te przewidywania?

W tym roku wszystko będzie sprzyjać gospodarce. Dalej będą spadać stopy procentowe, czyli stanieją kredyty. Pojawia się inwestycje, utrzymamy wzrost gospodarczy na przyzwoitym, a nawet wysokim, poziomie. To wszystko może sprzyjać giełdzie. Poza tym proszę pamiętać, że akcje potrafią być bardzo drogie przez długi czas - zawsze jest tak, że drogie walory mogą być jeszcze droższe. Nigdy nie da się przewidzieć, kiedy ten wzrost się skończy. Także nie widzę w tej chwili podstaw do krachu w Polsce.

A w USA?

Też nie. Choć na pewno trzeba pamiętać o starym powiedzeniu mówiącym, że jeżeli Wall Street łapie katar, to cały świat ma zapalenie płuc. Ale niekoniecznie to się zawsze sprawdza.

Przed chwilą Pan powiedział, że polska gospodarka powinna w tym roku ruszyć w kopyta. Do prezydenta właśnie wpłynęła ustawa budżetowa na 2026 r. Zapisano w niej wzrost gospodarczy na poziomie 3,5 proc., ale też deficyt budżetowy w wysokości 6,5 proc. To Pana uspokaja?

Przede wszystkim spodziewam się wyższego wzrostu gospodarczego. Wiele analityków uważa, że on będzie

PIOTR KUCZYŃSKI: W TYM ROKU POLSKA GOSPODARKA POWINNA RUSZYĆ NAPRAWDĘ Z KOPYTA

W tym roku wszystko będzie sprzyjać gospodarce. Dalej będą spadać stopy procentowe, czyli stanieją kredyty. Pojawia się inwestycje, utrzymamy wzrost gospodarczy na przyzwoitym, a nawet wysokim, poziomie - mówi Piotr Kuczyński, analityk rynków finansowych z Domu Inwestycyjnego Xelion

Agaton Koziński

Piotr Kuczyński: Rok 2026 to jeszcze nie ten, w którym pojawiają się problemy gospodarcze. Należy się ich spodziewać w 2027 r.

blіszy 4 proc. i ja się z nimi zgadzam.

Budżet jest niedoszacowany?
Jego twórcy mieli dosyć konserwatywne podejście, jak to się ładnie mówi. Przyjęto zachowawczo, że gospodarka urośnie w tym roku o 3,5 proc., ale ja uważam, że powinno być lepiej.

Skąd ten optymizm?
Musimy w tym roku wydać środki z KPO, inaczej one po prostu przepadną. W związku z tym będziemy obserwować bardzo szybki proces inwestycyjny. Już pojawiają się sygnały, że rośnie popyt na kredyty inwestycyjne w bankach. To daje szansę na to, że i sektor prywatny też się włączy do inwestycji. To z kolei stałoby się podstawą do wykreowania trwalszego wzrostu gospodarczego – bo taki dają tylko inwestycje. Popyt wewnętrzny bardziej przypomina palenie liśćmi – wtedy pojawia się potężny ogień, ale szybko się wypala i zostaje tylko popiół. Dlatego mam nadzieję, że w tym roku inwestycje realnie ruszą, bo do tej pory były na niezwykle niskim poziomie, ok. 16-17 proc. PKB, podczas gdy w Europie wynoszą one średnio ok. 22 proc.

Inwestycje miały już ruszyć w roku poprzednim. Donald Tusk już w lutym 2025 r. zapowiadał „rok przełomu” – ale nic takiego nie miało miejsca. Dlaczego teraz ma być inaczej?
W 2025 r. wzrost gospodarczy też nie był małeńki, Polska była w ścisłej europejskiej czołówce – tylko za Irlandią – pod tym względem, szacuje się, że nasze PKB poszło w górę o 3,3 proc.

Tyle że ten wzrost był napędzany głównie konsumpcją. Czyli – używając Pana języka – palenie liśćmi.
Absolutnie się zgadzam, w ubiegłym roku inwestycje nie dobiegły. Ale zakładam, że 2025 r. zostały wylane podwaliny – a w tym roku zobaczymy prawdziwy wybuch inwestycyjny.

Rysuje Pan perspektywę na 2026 r. w stylu historii oczywistego sukcesu. A on jest rzeczywiście tak pewny? Co może pójść nie tak?
Nie widzę zagrożenia dla tego scenariusza, przynajmniej w Polsce. Jeśli coś przeszkodzi w jego realizacji, to sytuacja poza naszymi granicami.

Na przykład globalny krach giełdowy.
Na przykład. Ale to nie jedyne zagrożenie. Negatywne konsekwencje dla polskiej gospodarki mogą mieć geopolityczne zawirowania na linii

Stany Zjednoczone-Chiny. Ale też nie sędzę, żeby teraz przeżyły się one w poważny kryzys. To jeszcze nie jest ten rok.

Dlaczego ciągle utrzymuje się tak wysoki deficyt? W 2025 r. niemal 7 proc. PKB, w tym rok w budżecie zapisano 6,5 proc.
I to jest smutne. Zaplanowany na ten rok deficyt to 271,7 mld zł. Jest on mocno krytykowany, ale też trochę na zasadzie, że nie pamiętamy, jak było kiedyś. Przecież ok. 60 mld zł jest przeznaczane na spłatę długów z czasów pandemii.

Tak, wtedy uruchomiono ogromne tarcze osłonowe dla polskich przedsiębiorstw.
Te tarcze były finansowane z funduszy pozabudżetowych – ale teraz trzeba te pieniądze spłacić. Gdyby nie to, dziś deficyt nie sięgałby 7 proc., tylko byłby w okolicach 5,7 proc.

Dalej dużo powyżej progu 3 proc., który obowiązuje wszystkie kraje UE.
Proszę jeszcze wziąć pod uwagę cały czas rosnące wydatki na zbrojenia. To są też potężne kwoty.

W porównaniu z 2023 r. one wzrosły o 90 mld.
Proszę do tego doliczyć 60 mld za obsługę zadłużenia oraz sumę deficytu z tamtego roku.

Wtedy on wynosił 85 mld zł.
Razem otrzymujemy 235 mld zł.

Tymczasem łączny deficyt to ponad 271 mld zł.
Proszę jeszcze pamiętać o rosnących wydatkach na ochronę zdrowia, też rosną.

W porównaniu z 2023 r. są wyższe o 60 mld zł.
I jesteśmy w domu. Widać wyraźnie, dlaczego ten deficyt w tym roku jest tak wysoki.

On jest wysoki także dlatego, że stosunkowo wolno idą w górę dochody państwa. W ustawie budżetowej zapisano, że one wzrosną w tym roku o 647 mld zł. W 2023 r. w ustawie budżetowej było 604 mld zł.
To z kolei pokłosie spadku tempa wzrostu inflacji. W ustawie budżetowej zapisano ją na poziomie 3 proc., sam spodziewam się, że będzie ona nieco niższa. A jeżeli spada inflacja, to siłą rzeczy trudniej o wzrost dochodów budżetu. Oczywiście, dochody są nakręcane przede wszystkim rozwojem gospodarczym, ale ten czynnik inflacyjny też bardzo mocno działa. Dlatego właśnie je-

stem daleki od krytykowania tego budżetu, choć ten wysoki deficyt też mi się w nim nie podoba. Ale on nie jest powodem rozrzutności, w tym budżecie nie ma wzrostu wydatków socjalnych – ponad to, co jest w niej na sztywno zapisane. Nie ma w nim dodatkowych prezentów dla ludności. Ale też widać inny problem: coraz wyższe zadłużenie.

W ustawie budżetowej wysokość na 2026 r. wpisano na poziomie 53,8 proc., poniżej prognozy konstytucyjnego.
Ale on nie uwzględnia tzw. wydatków pozabudżetowych. Według metodologii UE, w której takie wydatki do długu publicznego się zalicza, zbliżamy się do 67 proc. Powoli idziemy w kierunku scenariusza greckiego. W końcu pojawi się potężny problem, bo nawet ten dług ujęty w ustawie budżetowej przekroczy konstytucyjny próg 60 proc.

Akurat w to nie wierzę, gdyż kolejne rządy doktoryzują się z przenoszenia wydatków budżetowych poza budżet.
Tak, powstają kolejne odrębne fundusze pozabudżetowe. Tylko że to jest kreatywna księgowość, nie oszukujmy się. Tak nie powinno się liczyć. Akurat to Eurostat liczy prawidłowo wysokość zadłużenia kraju.

I pokazuje przy okazji, że akurat dług Polski – mierzony w stosunku do PKB – jest cały czas jednym z niższych w Europie.
Owszem, kraje UE mają przeciętnie 80 proc. długu, do PKB, w związku z tym dalej nie wystajemy ponad średnią. To korzystne zjawisko, rynki finansowe nie denerwują się i nie krzyczą na nas, że się tak potężnie zadłużamy. Ale też trzeba podkreślić, że ten dług cały czas rośnie. Przy utrzymaniu tej ścieżki w końcu zacznie być poważnym problemem.

Póki co jednak Polska znalazła się na 20. miejscu na świecie pod względem wielkości gospodarki. W grudniu pojawimy się na szczycie G20 w Miami. Rzeczywiście już jesteśmy w pierwszej dwudziestce?
Wie pan, miejsce Polski tak naprawdę zależy od tego, jaki jest kurs dolara. Teraz amerykańska waluta jest stosunkowo słaba – ale jeśli się umocni w stosunku do złota, to szybko się może okazać, że jesteśmy nie 20., ale 21., 22., albo nawet 23. gospodarką globu. Tego typu zestawienia są zawsze nieco sztuczne – choć nie ulega wątpliwości, że w okolicach pierwszej dwudziestki największych gospodarek światowych się znajdujemy. Nato-

miast na szczycie Miami jesteśmy zaproszeni jako gość, a nie jako członek grupy G20. To trzeba brać to zawsze pod uwagę.

Oddzielna sprawa, że to członkostwo w tej grupie teraz nam się należy.
Wcale nie. W G20 są różne państwa, niekoniecznie te z największymi gospodarkami. Ważne jest też miejsce na kuli ziemskiej, na którym się znajdują. Przecież w tej grupie jest choćby RPA, które pod względem wielkości swojej gospodarki znajduje się w trzeciej dziesiątce państw globu. W szóstej dziesiątce znajduje się z kolei Argentyna, a też jest członkiem G20. Po prostu te państwa korzystają z premii regionalnej – nazwijmy to w ten sposób.

Gdyby też Polska dołączyła do G20, to w tej grupie znalazłoby się 21 państw. Chyba że ktoś zostałby z niej wyrzucony.
Gdyby zapadła decyzja o tym, by kogoś wyrzucić, to pewnie padłoby na RPA. Przede wszystkim dlatego, że Amerykanie ich nie cierpią – a najbliższy szczyt G20 odbędzie się w USA.

Poza tym RPA jest wśród krajów-założycieli grupy BRICS – struktury konkurencyjnej wobec G7 czy G20.
Otóż to. Ale naprawdę do tego, czy jesteśmy w G20 czy też nas tam nie ma nie przywiązywałbym większej wagi. To dobry PR dla Polski, ale niewiele więcej.

Podczas ostatniego szczytu G20 w RPA właśnie Emmanuel Macron otwarcie powiedział, że formuła tej grupy już się wyczerpała.
Też tak uważam, dlatego właśnie ostrzegam przed przecenianiem tego formatu. Ale na pewno to jest dobry PR, w ten sposób możemy wysłać w świat sygnał, że polska gospodarka ciągle się świetnie rozwija, że cały czas idziemy w górę. Taki PR może przynieść ze sobą zainteresowanie kapitału zagranicznego, co wróci do nas w formie bezpośrednich inwestycji zagranicznych, które bardzo się nam przydadzą.

Bardzo słabo wyglądają Niemcy, nasz najważniejszy partner gospodarczy. Na ile ich kłopoty będą nam cięższe?
Tak, ten kraj ma problem. Widać wyraźnie, że rządząca tam wielka koalicja niespecjalnie się sprawdza, w sondażach na pierwszy miejsce utrzymuje się opozycyjna prawicowa partia AfD. Partie rządowe odgradzają się od tego ugrupowania wielkim chińskim murem, ale on niedługo pewnie padnie. I to rzeczywiście jest dla Niemiec

groźne. Ale na razie to melodia przyszłości, choć może nieodległej – jeśli nie będzie wcześniejszych wyborów to w normalnym terminie odbędą się w 2029 roku. Dziś gospodarka niemiecka notuje wzrost gospodarczy, a to pomaga również Polsce.

Czyli w tym roku nawet słabnąca niemiecka gospodarka nie zahamuje tempa rozwoju Polski?
Tak. Rok 2026 to jeszcze nie ten, w którym pojawią się problemy. Spodziewam się, że one pojawią się w 2027 r., kiedy odbędą się wybory prezydenckie we Francji, a Niemcy będą wybierać nowego prezydenta. No, i oczywiście będą wybory w Polsce.

Wokół czego się rozegrają wybory w Polsce? Wybory prezydenckie w końcówce stały się starciem bogatych elit z biednym ludem – i ten drugi wygrał. Czy ten aspekt okaże się rozstrzygający w wyborach parlamentarnych?
Gdy patrzymy na ostatnie badania CBOS-u, to widać, że zadowolenie Polaków z życia wygląda tam wręcz imponująco. Jeżeli chodzi o zamożność, już w tej chwili osiągnęliśmy poziom w wysokości 80 proc. strefy euro. Oddzielna sprawa, że cały czas mało kto u nas jest zadowolony. To polskie malkontentstwo zostanie z nami chyba do końca życia i jeden dzień dłużej. Bo pensje w kraju cały czas rosną, poziom życia ciągle idzie w górę, ale zadowolonych Polaków nie widać. Tymczasem my naprawdę doganiamy Europę. W dodatku robimy to w imponującym stylu.

Tyle że doganiają ją głównie polskie metropolie. Poza nimi ciągle żyje się skromnie.
Niech pan zauważy, jak wsie i małe miasta się wyludniają. Ludzie masowo przenoszą się do dużych miast. To jest zresztą trend ogólnoswiatowy, Polska nie jest tu wyjątkiem. Czy to jest złe? Oczywiście, że tak – ale by ten trend odwrócić, trzeba byłoby lokować duże inwestycje poza dużymi miastami. Tymczasem u nas tego nie widać, bo jedyną inwestycję, jakie są pojawiają, to te publiczne. A ile takich dużych publicznych inwestycji może być?

CPK, elektrownie atomowe.
I to właściwie wszystko, może jeszcze jakieś fabryki zbrojeniowe. Za mało, żeby trend migracyjny zahamować.

Chyba że ruszą też inwestycje prywatne, o których mówił Pan na początku naszej rozmowy.
Nawet jeśli ruszą, to nie w takiej skali, by trend odwrócić.

Tym bardziej, że traci na znaczeniu rolnictwo – a po podpisaniu umowy z Mercosur i właśnie negocjowanej umowy z Indiami, straci jeszcze bardziej.
A jeżeli jeszcze dopuścimy Ukrainę do Unii Europejskiej, to w ogóle będzie piękna katastrofa w rolnictwie.

Dużo się też mówi o reindustrializacji. Nowe fabryki też powstawałyby poza miastami. To realne?
To byłby świetny scenariusz, tylko trzeba najpierw znaleźć nisze przemysłowe, w których Polska miałaby szansę stać się wiodącym producentem. W tej chwili tych nisz za bardzo nie widać.

Reindustrializacja miała być generalnie silnym trendem w całej Unii Europejskiej. Dużo się mówiło o przenoszeniu produkcji z Azji do Europy.
W raporcie Dragiego wyraźnie zapisano, że co roku należy w gospodarkę europejską inwestować 800 miliardów euro, bo inaczej zostaniemy daleko za Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Ale żeby móc w ten sposób działać, potrzebna jest bardziej skonsolidowana Unia Europejska. Tymczasem dziś dzieje się dokładnie odwrotnie, wręcz widać odśrodkowe działania.

Przed wszystkim nie za bardzo widać w ogóle zamiar, aby wcielić zalecenia Mario Dragiego w życie.
Żeby te zalecenia mogły być rzeczywiście zrealizowane, to Unia Europejska musiałaby się skupiać w sobie, kraje członkowskie musiałaby się zbliżać do siebie, a nie oddalać. Tymczasem nic takiego się nie dzieje, cały czas idziemy w odwrotnym kierunku. Tak naprawdę nadzieję pokładam w polityce Donalda Trumpa.

A gdzie Pan widzi związek między polityką USA, a realizacją zapisów raportu Dragiego?
Trump prowadzi taką politykę, która de facto zmusza Europę do budowy europejskiego NATO. Chodzi mi o stworzenie prawdziwej armii europejskiej, poważną rozbudowę przemysłu zbrojeniowego na naszym kontynencie. Europa musi stać się samowystarczalna pod względem bezpieczeństwa, żebyśmy nie musieli mieć parasola amerykańskiego nad sobą. Liczę, że gdy ten proces rozpocznie się na serio, to kraje Unii Europejskiej zaczną się wreszcie zbliżać do siebie. Choć z drugiej strony, gdy patrzę na sytuację we Francji i w Niemczech, gdzie do władzy mogą dojść Marine Le Pen i AfD, to mam poważne wątpliwości, czy taki proces jest rzeczywiście możliwy.

Panie profesorze, myśli pan, że Donald Trump zdecyduje się na zbrojną inwazję na Iran?

Myślę, że rozważa to z całą powagą i rozważa, gdyż jest to część całego kompleksu problemów, które teraz otaczają Amerykę także z racji wcześniejszych decyzji tej administracji. To nie jest jedyna kwestia, która jest obiektem planów i działań amerykańskich. Atak na Iran stworzyłby szanse obalenia władz brutalnie atakujących irańskie społeczeństwo. Jednak atak niewątpliwie zaostriżyłby sytuację w tym regionie świata do tego stopnia, że mogłyby być zagrożone amerykańskie bazy wojskowe i dojść do terrorystycznych ataków przeciwko amerykańskim placówkom dyplomatycznym. Więc to nie jest łatwa decyzja. Jeżeli prawdą jest to, co słychać w mediach amerykańskich, że nadal, choć w niewielkim stopniu, brana jest pod uwagę możliwość negocjacji, to być może przyszła chwila refleksji, która odpowiada prezydenckiemu podejściu: albo się porozumiemy, albo dojdzie do wojny. Zawarte to jest w wypowiedziach samego prezydenta. Pamiętajmy jednak, że kategoryczność wypowiedzianych sądów prezydenta Trumpa nie jest w wielu wypadkach ostateczną decyzją, preferuje on bowiem biznesowy model negocjacji i prowadzenia polityki, co nie ułatwia zrozumienia jego rzeczywistych celów.

Póki co Donald Trump nałożył cła na kraje robiące interesy z Iranem, chodzi głównie o Chiny, Turcję, o Zjednoczone Emiraty Arabskie, także o Rosję.

To jest ulubiona broń Trumpa - cła. Cła stały się symbolem jego polityki, a ich nałożenie jest dodatkową presją wywieraną na Iran. Ale może się zdarzyć i tak, że niektóre państwa zdecydują się zlekceważyć te cła i biorąc pod uwagę szersze kalkulacje, będą nadal handlować z Iranem. Tak czy tak, to problem dla Iranu, którego gospodarka nie jest w stanie zabezpieczyć potrzeb społeczeństwa i osłabia rządzący reżim.

Powiedział pan o szerszym planie Trumpa. Jaki to plan?

Plan jest głęboko ułożony w myśli prezydenta - nie mówię tutaj w sposób prześmiewczy - w stopniu niezezwalającym na jego zrozumienie w pełni. Powinny temu służyć formalne dokumenty, w tym niedawno ogłoszona National Security Strategy of the US. Czytam takie strategie od lat, publikowane przez poprzednich prezydentów. Trzeba je studiować starannie. Widzimy w nich zmieniającą się optykę widzenia spraw świata, inne defilowanie zagrożeń, wskazanie wrogów i sojuszników, prezentacje zmiany w priorytetach Stanów Zjednoczonych. Jedno

jest widoczne wyraźnie w obecnej strategii, nastąpiło zdecydowane przesunięcie zainteresowania jej twórców na samą Amerykę w takim rozumieniu, że to ona ma być beneficjentem przemian w świecie i wszyscy inni muszą to zaakceptować. Europa utraciła swój czar bycia starym, dobrym partnerem. To są oczywiście przesadne sądy wobec naszego kontynentu, bo wypowiadanie uwag o upadku, o degrengoladzie Europy jest daleko niewłaściwe. Tak samo niewłaściwe jest zwracanie się do innych, może w łagodniejszej formie, że powinni zrozumieć amerykańskie myślenie. USA chcą na przykład dominować w rejonie Ameryk. To jest stara, zbudowana na historycznym doświadczeniu zawartym w doktrynie Monroe'go polityka, która ma jakiś sens, lecz jej ocena zależy od tego, jak będzie wdrażana w życie. Pamiętajmy, że USA niewątpliwie czują swój związek z Ameryką Południową jako obszarem swej dominacji i eksploracji, jednak zdaje się nie zważać na to, że wiele z tamtejszych społeczeństw nie jest gotowa poddać się imperialnej dominacji. Antyamerykańskie nastroje są na tej półkuli silne. Prezydent chciałby skorzystać z tego, jak on uważa, momentu wyjątkowego w dziejach Stanów Zjednoczonych, kiedy on rządzi, aby wzmocnić Amerykę. To jego pragnienie oparte jest na emocjach. On jest dość racjonalny i niepokojąco skuteczny w sposobie wywierania presji. Ma tutaj dużą umiejętność, jest biznesmenem o znacznym doświadczeniu, ma tym samym siłę przebicia wobec innych państw, które są słabsze wobec potencjału Ameryki. Jego wiara w decydujące znaczenie siły w stosunkach międzynarodowych jest w wielu obszarach działań niebezpieczna. Ale też to nie jest sytuacja oczywista, że prezydent ma wszystko dokładnie przemyślane. Generalnie chciałby potężnej Ameryki, być może nawet większej Ameryki, ale zrujnowanie całego ładu światowego jest groźne i można zapytać prezydenta, z czym pozostanie wobec chaosu, do powstania którego się przyczyni? Właśnie!

Wątpliwości mogą budzić metody, jakimi posługuje się Donald Trump. Porwanie prezydenta suwerennego kraju - dyktatora, ale jednak prezydenta suwerennego kraju - to się raczej nie zdarza.

Ale oczywiście! Te działania budzą wątpliwości, bo są niewątpliwie naruszeniem prawa międzynarodowego. Wkroczył ktoś z zewnątrz i zaaresztował prezydenta. Tylko świat dwójako na to patrzy. Prezydent Wenezueli był człowiekiem słusznie potępianym za to, że zmiażdżył demokrację we własnym kraju, że zafałszował wy-

- Donald Trump musi myśleć o następstwach swoich działań - mówi prof. dr hab. Andrzej Mania, politolog, specjalista w problematyce Stanów Zjednoczonych, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ

Dorota Kowalska



Prof. Mania: Ameryka doświadcza u siebie problemu naruszania reguł demokracji

PROF. MANIA: TRUMP GŁĘBOKO WIERZY W SWOJE POSŁANNICTWO

bory, że doprowadził do sytuacji, w której to państwo potrzebowało czegoś, co by je odmieniło. Niestety, wewnętrzne siły okazały się za słabe, żeby dokonać rewolucji czy jakiejś przemiany. Pokojową Nagrodę Nobla dostała reprezentantka tego społeczeństwa, pani Maria Machado, to była pewna nadzieja, ale na tym sukcesie nie powstał żaden masowy ruch, który mógłby coś zmienić, obalić dyktatora. On był wystarczająco silny w zakresie potencjału do gnębienia własnego narodu. To była dla Trumpa wspaniała okazja. Mógł pojawić się zbawca, a po drugie Trump miał ważny powód - olbrzymie zasoby ropy w Wenezueli. Dzięki niej prezydent zyskuje potężną broń. Ameryka nie potrzebuje ropy, ma dość wla-

nych zasobów, wysokie technologie wydobywania w różnej formie z własnych ziem daje im komfort, ale Trump zyskuje nowy oręż, bo może wpływać na światowy cenę ropy, a tym samym wywierać wpływ na korzyści, które mogą odnosić Chiny, czy Rosja. Więc wyposaża się w nowe narzędzie, co realizuje jego generalną ideę - Ameryka ma być potężniejsza i szanowana.

Tak, tylko jakimi metodami? Uprowadzeniem prezydenta?

Metody są niewłaściwe. Z niepokojem o tym mówię - jeżeli prezydent mocarstwa mówi, że prawo międzynarodowe jest mu niepotrzebne, wystarczy mu jego moralność - tu pięć groszy nie dałbym za jego moralność, biorąc pod uwagę jego

postępki także w sferze obyczajowej. Ale prawda jest taka, że trudno się Trumpowi przeciwstawić, bo Ameryka jest mocarstwem z ogromnym potencjałem. Cóż, widzimy upadek liberalnego ładu, który kiedyś współtworzyli także Amerykanie - współdziałanie państw w sprawach pokoju, porozumiewanie się chociażby w sprawach warunków handlu, to wszystko było częścią dawnej struktury. Nagle okazało się, że siła potrafi stanąć ponad wszystkie te zasady. Muszę jedną rzecz powiedzieć: jako Europejczyk z urodzenia i emocji jestem głęboko zaniepokojony tym, że to budzenie się Europy co do wspólnego działania przeciwko amerykańskiej presji nie jest tak zdecydowane, jakim chciałoby się go widzieć.

Teraz Donald Trump mówi, że w taki czy inny sposób będzie miał Grenlandię, bo jest mu absolutnie potrzebna. To co? Wyśle tam swoje wojska?

Myślę, że tak nie będzie. Pamiętajmy, że Stany Zjednoczone, jak spojrzeć od 1803 roku wielokrotnie dokonywały zakupu pewnych terenów. Wszyscy pamiętamy Luizjanę, obszar Florydy, pamiętamy Alaskę, a wreszcie Wyspy Dziewicze kupione od Danii. Metoda zakupu byłaby tutaj najwygodniejsza dla Trumpa. On wywiera presję ponad miarę wobec tego, co może zyskać, bo ludzie specjalizujący się w sprawach dotyczących wydobywania rzadkich na Grenlandii nie są łatwe do eksploracji, jakby się wydawało. Dlatego myślę, że Trump będzie solidnie mitygowany przez swoich współpracowników, jeżeli się odważą, którzy będą sugerowali być może zawarcie porozumienia o zakupie wyspy. W co też nie wierzę, bo Dania nie jest gotowa i w zasadzie słusznie, na oddanie tych ziem. Może jednak Trump uzyska to, co byłoby najbardziej racjonalne - zgodę na ulokowanie tam znacznych amerykańskich inwestycji czy wzmocnienia militarnego, bo ciągle opowiada, że Grenlandia jest otoczona statkami rosyjskimi i chińskimi, czego nikt nie potwierdza. Prezydent straszy. Natomiast nie wierzę w możliwość prostego ataku, bo co się wtedy stanie? Premier Danii mówi, że upadnie NATO, na pewno zostanie zburzony jakiś ład. Co Ameryka na tym zyska? Nic w krótkiej perspektywie.

Myśli pan, że wojna w Ukrainie wciąż będzie trwać? Donald Trump obiecywał, że skończy ją w miesiąc, mija rok jego prezydentury, a za naszą wschodnią granicą wciąż giną ludzie.

Kiedyś ta wojna się skończy, ale na pewno nie w wyniku tej fazy rozmów. Rosjanie nie mają najmniejszego powodu, żeby tę wojnę przerwać, w zasadzie ją wygrywając, brutalnie niszcząc infrastrukturę Ukrainy, zabijając i raniąc także ludność cywilną. Przy całym osłabieniu gospodarki rosyjskiej wciąż funkcjonują i to niepokojąco skutecznie w obszarze produkcji zbrojeniowej. Pomaga im także to, że presja, którą gotowa jest wywierać na Rosję Ameryka, jest zbyt słaba. Ta wojna przez długi okres czasu może być niebezpieczeństwem dla Europy, już nie wspominając o narodzie ukraińskim.

Tylko mam takie obawy, że na działania Trumpa patrzą inne mocarstwa i Chiny mogą sobie powiedzieć tak: „Trump sięga po Amerykę Południową, to my sobie weźmiemy Tajwan”, a Putin powie tak: „To w takim razie my sobie bierzemy Ukrainę i inne kraje, które kiedyś należały

do Związku Radzieckiego”. Nie uważa pan, że to, co robi Trump, jest swego rodzaju przyzwoleniem dla innych dużych mocarstw?

Tak to wygląda na pierwszy rzut oka, ale to błędne założenie. Tylko trudno sobie wyobrazić, że prezydent Trump przyzwala Chinom na zajęcie Tajwanu, choć tak podpowiadałaby logika: my zajmujemy te kraje, a wy zajmujecie Tajwan. Przecież Tajwan to prawie 90 procent produkcji najwyższej klasy półprzewodników, to kraj wysokich technologii, którego niezależność jest bardzo ważna – to po pierwsze. Po drugie – Amerykanie mają w oparciu o ten kraj i inne sojusze: z Japonią, z Filipinami, z Australią, mocniejsze ułożenie swojego potencjału na terenie Azji. A więc trudno założyć, że Chińczycy mieliby prawo teraz zadzwonić do prezydenta Trumpa i powiedzieć: „Słuchaj, uprowadziłeś Maduro, chcesz Grenlandii, to my zajmujemy Tajwan”. Wykluczam taką grę. To byłaby największa możliwa kompromitacja prezydenta Trumpa, gdyby nie zareagował zdecydowanie wobec narastających apetytów Chin w stosunku do Tajwanu.

Ale sam robi, co robi. Pokazuje politykę, która rządzi się zasadą, że silniejszy może wszystko.

Tak, dzisiaj wszyscy zaczęli to rozumieć, z niepokojem o tym mówię. Nie prawo międzynarodowe, nie pewien ład, który gwarantował jakąś formę bezpieczeństwa, tylko siła. Ona jest brutalnie przekonująca. Ale użycie siły wymaga też, logicznie rzecz biorąc, myślenia o następstwach. Użycie siły wobec ważnego partnera i osłabienie go, pewne lekceważenie Europy, atak w jakiś punkt świata wywoła chaos, nie działa na korzyść nikogo. Zająć jakiś teren, zaareztować jakiegoś dyktatora, wywołać mniejszą czy większą wojenkę jest łatwiej niż przemyśleć i przewidzieć, jaki będzie potem ład. Na przykład atak na Iran. Co to znaczy? Iran zniknie? Nie, dozna zniszczeń, ale destabilizacja w tym rejonie świata pozostanie. Zbrodniczy antyamerykański reżim w Iranie może upaść, ale nie powstanie struktura, która dawałaby nadzieję na spokój w regionie. Na swój sposób to, co się działo w Wenezueli, było spokojnym wydarzeniem, nieakceptowalnym z punktu widzenia prawa międzynarodowego, ale spokojnym bez wiel-

kich krwawych walk, wojny domowej. Nawet dziś Trump przygotowujący się do opcji militarnej w Iranie w jakimś stopniu musi myśleć o następstwach. On wierzy w zwycięstwo, ale zwycięstwo wymaga także przygotowania rozwiązań po zwycięstwie, a wcale nie jest oczywiste jak ma wyglądać ten świat powojenny.

Mam wrażenie, że być może działania Trumpa wiążą się z tym, że ma fatalne notowania w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie przebudzili się, zobaczyli chaos, stwierdzili też, że wcale nie żyje im się lepiej, a to obiecywał im Trump w swojej kampanii. Więc może chodzi o to?

W jakimś stopniu o to na pewno chodzi, tylko jest to bardzo niebezpieczny sposób prowadzenia polityki, kiedy zmierza się do agresywnych działań, nawet wojny po to, aby poprawić swoje notowania w rankingach. To jest niebezpieczne i nieskuteczne, bo żadna z tych planowanych akcji nie cieszy się wśród Amerykanów wielkim uznaniem. Nawet aresztowanie słusznie krytykowanego prezydenta Wenezueli nie wywołało wzrostu nastrojów proprezydenckich. Ponadto, w kraju prezydent rozpoczął inne wojny: ma wojny wewnętrzne dotyczące problemów migracji, przeprowadza niezrozumiały dla całego świata wielki atak na szefa Rezerwy Federalnej Powella, którego bronią wszyscy poprzedni sekretarze stanu, poprzedni prezesi FED-u. Ameryka może mieć problemy wewnętrzne i tego się wojną nie przykryje. Nie przykryje się wojną wzrostu bezrobocia i podniesienia cen, gdyby takie zjawiska w większej skali zaistniały.

Republikanie podobno bardzo tracą w sondażach: w stanach, w których wygrywali minimalną ilością głosów z Demokratami, teraz z nimi przegrywają, a tam, gdzie wygrywali zdecydowanie, teraz wygrywają minimalnie. Mówi się, że nie wygrają już wyborów.

Wszyscy tak mówią. To trochę takie wishful thinking, ale prawda jest taka, że badania opinii publicznej to potwierdzają. Przy czym polityka dzieje się dzisiaj bardzo szybko. Za chwilę będzie rok od formalnego objęcia urzędu prezydenta przez Trumpa, a ile rzeczy się wydarzyło! Wielka wojna celna, podejmowanie działań zbrojnych za granicą,

mimo że Trump obiecywał, że tego nie będzie robił, wreszcie olbrzymie przemiany w polityce migracyjnej. Dynamika wydarzeń politycznych jest tak duża, że do wyborów, które odbywają się w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada, wiele jeszcze może się zmienić.

Widział pan ten film z zastrzeżenia migrantki przez amerykańskiego policjanta? Porażające!

Tak, to było przerażające. Nie wypowiadam się na ten temat, bo widziałem tyle, ile pokazano w telewizji amerykańskiej i wyglądało na to, że policjant zbyt pochopnie użył broni. Być może nie miał zamiaru zatrzymania samochodu, ale celował w człowieka. Irytujące jest natomiast to, że prezydent, wiceprezydent, szefowa Departamentu Bezpieczeństwa już wydali wyrok i nie chcą dopuścić władz stanowych do prowadzenia śledztwa. Federalne władze przyjmują to śledztwo, co jest naruszeniem pewnego ładu. Jest jeszcze jedna ważna rzecz, o której warto wspomnieć: Ameryka doświadcza u siebie problemu naruszania reguł demokracji. Przez lata, co by nie powiedzieć, to był kraj, który przyciągał, może przesadnie, uwagę wielu jako ten, który potrafi być i demokratyczny, i bogaty, i mieć olbrzymie możliwości. Teraz ta demokracja słabo wygląda, bo prezydent w zasadzie lekceważy inne władze, z którymi powinien żyć w pewnym balansie i równowadze, czyli i Kongres i Sąd Najwyższy. Za chwilę mamy poznać orzeczenie Sądu Najwyższego – ciekaw jestem, jakie będzie w sprawie cel, które Trump nakładał na wiele państw. To będzie sprawdzian dla Sądu Najwyższego. Jeżeli kruszy się podstawowa reguła demokracji, reguła trójpodziału władz, tego, że prezydent w wielu wypadkach jest zobowiązany współdziałać z Kongresem, to bardzo niebezpieczne zjawisko. Swym działaniem prezydent uaktywnia Demokratów, którzy czują się obrońcami tego ładu, który znali i jest oparty na konstytucji.

Właśnie, trochę zdumiewające jest to, że właściwie nad prezydentem Trumpem nikt nie ma kontroli. Mówiło się zawsze, że w Stanach Zjednoczonych są mechanizmy, które kontrolują prezydenturę, zabezpieczają demokrację. Tymczasem wydaje się, że prezydent Trump z nikim i z niczym się nie liczy. To prawda, nie liczy się i, niestety, pewną słabość wykazują te instytucje, które powinny stawiać opór jego działaniom. Największe możliwości, o dziwo, mają sądy, ale też nie wszystkie zachowały się tak, jak trzeba. Żartowałem z samego siebie, bo przez lata pro-

TRUMPOWI CHODZI O PRZEBUDOWANIE ŚWIATA ZGODNIE Z JEGO WIZJĄ ZAKŁADAJĄCĄ BUDOWANIE POTĘGI USA BEZ WZGLĘDU NA KOSZTY

wadząc wykłady z historii Ameryki, mówiłem, że ten kraj ma dobrze zbudowane struktury funkcjonowania władzy, bo one wzajemnie się kontrolując, powodują, że nawet słaby prezydent nie jest w stanie zaszkodzić stabilności tego systemu. Teraz musiałbym to co najmniej opatrzyć przypisem, wyjaśniając, że prezydent o takich aspiracjach i emocjach w polityce jak Trump jest w stanie szkodzić demokracji.

Do czego zmierza Donald Trump? Chodzi mu tylko o Pokojową Nagrodę Nobla? O co właściwie?

Jemu chodzi o przebudowanie świata zgodnie z jego wizją zakładającą budowanie potęgi USA bez względu na koszty. To jest narcystyczna osobowość, która głęboko wierzy w swoje posłannictwo. Trump chciałby dokonać czynów, które pozwolą mu mówić o sobie jako najlepszym polityku na świecie. Nagrody Nobla najpewniej nie dostanie przynajmniej patrząc na jego obecne dokonania. Spędziłem wiele miesięcy w Norwęgii Nobel Institute, zespole doradczym Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla, starałem się śledzić, rozumieć mechanizm przyznawania tej nagrody. Wiem, że ta instytucja działa bardzo rzetelnie. Miała niekiedy udane decyzje, ale w tym wypadku to, co prezydent Trump mówi o sobie, nie predestynuje go do Nagrody Nobla, nawet jakby doliczył się dwudziestu zakończonych wojen według swoich kalkulacji.

Dobrze, tylko panie profesorze, jak ma wyglądać ten nowy porządek świata według Trumpa?

Ten porządek świata ma być porządkiem amerykańskim. Koniec, kropka. Wszystko inne ma się temu podporządkować. Trump chce budować bezpieczeństwo dla Ameryki, dać Ameryce dostęp do tego, czego ta potrzebuje, nawet jeśli to coś jest w innym rejonie świata. To jest swego rodzaju mania wielkości, zresztą za daleko idąca wobec tego, że świat jest dzisiaj bardziej skomplikowany niż kiedyś. Państwa są dzisiaj od siebie uzależnione i nie da się tego zmienić, bo to jest przecież naturalny sposób funkcjonowania handlu międzynarodowego i współpracy państw. Nie da się tego złamać, podporządkować woli USA, wystraszyć cłami. To jest kalkulacja oparta na przekonaniu, że lu-

dzie się kierują tylko i wyłącznie strachem wobec presji amerykańskiej. Myślenie w kategoriach podziału stref wpływu jest anachroniczne. Jeśli Europa się ocknie w większym stopniu, przełamię egoistyczne czasem myślenie, a współpraca między państwami będzie realna, to pokaże, że jesteśmy potężną gospodarką, która w wielu wypadkach może funkcjonować bez Ameryki. W zakresie bezpieczeństwa na razie ciężko nam będzie bez Stanów Zjednoczonych, to prawda, ale w innych kwestiach – już niekoniecznie.

Co możemy zrobić? My jako Europa.

Przede wszystkim jako Europa funkcjonować razem, ze zrozumieniem wspólnoty interesów i oczekiwań poszczególnych państw. Kilka państw próbuje się umizgiwać do tego amerykańskiego modelu funkcjonowania, to nam szkodzi. Jestem amerykańnistą od wielu lat. Mam wielki szacunek dla tego państwa i dokonań wielu Amerykanów. Natomiast nie mogę odnieść się pozytywnie do obecnego sposobu funkcjonowania Stanów Zjednoczonych. Europa musi się zjednoczyć. Niektóre państwa tę jedność burzą. U nas podziały polityczne źle Polskę lokują, bo też opacznie rozumienie, że Trump jest dobrem samym w sobie głoszone przez siły skupione wokół Pana Prezydenta RP, niewiele pomagają. Powinniśmy starać się, Polska i inne państwa, być razem. Niestety, jesteśmy ciągle zestawem dwudziestu siedmiu państw, którymi kierują małe ambicje. Może dobrze się stało, że presja amerykańska wielu z nas ocuciła. Wyobraźmy sobie, że prezydent decyduje się o dramatycznym zmniejszeniu obsady kontyngentów amerykańskich na naszym terenie, kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy wraca do domu. Co wtedy? Czy jesteśmy bezpieczni? Właśnie! Dlatego Europa staje przed oczywistą presją jedności.

To może prezydent Trump był Europie potrzebny?

W pewnym stopniu takie stanowisko przyjmuję. On, kierując się wizją potężnej Ameryki nie ograniczanej wspólnymi politykami UE, podjął działania w stosunku do Europy, które trudno zaakceptować. Europa jest najdawniejszym politycznym, kulturowym i militarnym sojusznikiem USA i osłabianie

związków z nią jest szkodliwe dla USA. Jednak niechcianym efektem takich działań Ameryki jest fakt, że Europa doświadczyła pożądanego z punktu widzenia przyszłości wstrząsu w myśleniu o swoim miejscu w świecie. Patrząc na potencjał gospodarczy, jeszcze raz powtarzam, Europa jest bogata, mamy wystarczająco wiele mechanizmów, które mogłyby powodować, że jeszcze się wzmocnimy. A narastający spór z Ameryką powoduje, że chcąc nie chcąc, Europa stała się obiektem swego rodzaju ekspansji chińskiej, na ulicach europejskich dróg widać coraz więcej chińskich samochodów, które opanowują ten rynek. Potencjał Chin wzrasta z każdą chwilą, stają się realnym konkurentem USA w walce o przywództwo. Nie o to przecież Ameryce chodziło we wdrażaniu przez USA wrogich wobec Europy kroków. Świat, w którym tamta kultura, odmienna od naszej, odgrywałaby coraz większą rolę, wcale nie jest taki łatwy do zaakceptowania. Musimy mieć własną tożsamość. Tożsamość europejska to nie są tylko hasła, że jesteśmy za prawami człowieka, za równością państw, ale także fakt, że mamy dobrze zdefiniowane wspólne interesy w sferze gospodarczej, ekonomicznej i także kulturowej oraz militarnej. To istota europejskości. Jesteśmy bogatym, różnorodnym, ale małym kontynentem, potrzebujemy jak najlepszej współpracy z USA (także w ramach NATO), choć wiele tu zależy do prezydenta Trumpa.

I już na koniec: nie ma pan wrażenia, że Donald Trump próbuje zburzyć stary porządek świata, ale niczego nowego nie buduje?

Nie buduje, bardziej dezintegruje liberalny ład międzynarodowy niż konstruuje bezpieczny ład. Wygląda na to, że zakłada, iż ten nowy ład ukształtuje się w sposób będący akceptacją jego luźno rzucanych idei, które na dodatek są czasami sprzeczne ze sobą. I to budzi największy niepokój, bo chyba nie ma nikogo, kto z jasnością mógłby dzisiaj powiedzieć, że prezydent Trump chce na pewno takiego, a nie innego ładu. Wszyscy się zgodzą, że chce ładu amerykańskiego, ale jak on ma wyglądać, nie bardzo wiadomo – to po pierwsze. A po drugie, jest to tym bardziej utrudnione, gdyż sprawy wewnętrzne, w tym wybory listopadowe w USA, mogą zmienić funkcjonowanie administracji Trumpa być może w kierunku jakiegoś powrotu do przekonania o wartości Europy jako sojusznika i partnera w sferze gospodarczej dla Stanów Zjednoczonych, nawet nadal koncentrujących się na zaspokajaniu wizji prezydenta o potężnej Ameryce.

*ALE PRAWDA JEST TAKA,
ŻE TRUDNO SIĘ TRUMPOWI
PRZECIWSTAWIĆ, BO AMERYKA
JEST MOCARSTWEM
Z OGROMNYM POTENCJAŁEM*

Ziobro i Hołownia. Politycy przegrani

Obaj stosunkowo młodzi, obaj z wielkimi politycznymi ambicjami. Zbigniew Ziobro i Szymon Hołownia w ciągu ostatnich miesięcy stracili wiele, może wszystko, z tego, na co pracowali przez ostatnie lata

Dorota Kowalska

Dla Zbigniewa Ziobry i Szymona Hołowni miniony rok nie należał do udanych, w nowym roku zła passa polityków trwa.

W poniedziałek były minister sprawiedliwości przyznał, że otrzymał na Węgrzech azyl polityczny, choć zarzekał się, że nie będzie się o niego ubiegał. Podobną ochronę otrzymała jego żona, Patrycja Kotecka. Tym samym para dołączyła do Marcina Romanowskiego, bliskiego współpracownika Ziobry, byłego wiceministra sprawiedliwości, który też dostał azyl od Orbana i od miesięcy ukrywa się na Węgrzech.

Przypomnijmy: śledczy postawili byłemu ministrowi sprawiedliwości 26 zarzutów, w tym zarzut założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. Ziobro miał wskazywać podwładnym, kto ma wygrać niektóre konkursy na pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, zanim jeszcze te konkursy zostały ogłoszone. Prokuratorzy twierdzą, że mają mocne dowody: oficjalne dokumenty (zarówno te publicznie znane, jak i dotąd nieznane), pendrive'y używane przez urzędników resortu Ziobry, grafiki spotkań ministra Ziobry, nagrania rozmów między byłymi urzędnikami, korespondencję elektroniczną, zeznania świadków i wyjaśnienia podejrzanych. Swoje ustalenia poczyniła też Najwyższa Izba Kontroli.

Problem w tym, że Ziobro, kiedy śledczy stawiali mu zarzuty, przebywał w Budapeszcie. Spotkał się tam między innymi z Wiktorem Orbaniem. Obaj panowie bez pardonowo atakowali polski rząd i Donalda Tuska. Teraz okazuje się, że Ziobro zostanie za granicą. Co będzie robił na Węgrzech?

Uruchomię kanał na YouTube, na którym będę pokazywał kłamstwa tej władzy - zapowiedział w RMF FM polityk. Wydał też obszerne oświadczenie.

„Wybieram walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem. Stawiam opór postępującej dyktaturze. Czynię to w imię zasad, którymi zawsze się kierowałem i z powodu których stałem się dziś celem osobistej zemsty Donalda Tuska i jego środowiska. Stałem się



Ziobro przyznał, że otrzymał na Węgrzech polityczny azyl, choć zarzekał się, że nie będzie się o niego ubiegał

obiektem polowania i nagonki, dlatego że jako Prokurator Generalny zainicjowałem liczne śledztwa dotyczące ich korupcji i złodziejstwa” - napisał Ziobro w serwisie X.

I dodał, że podjął decyzję o pozostaniu za granicą do czasu, „gdy w Polsce zostaną przywrócone rzeczywiste gwarancje praworządności”.

Tyle że jego sprawa to spory kłopot dla Prawa i Sprawiedliwości.

- Zbigniew Ziobro to jest polityk, który nie cieszy się specjalną sympatią w Polsce. Co więcej, nienajlepsza opinia czy nienajlepszy stosunek, czy wprost negatywny stosunek do niego nie jest tylko i wyłącznie domeną wyborców koalicji 15 października. Jest całkiem spora grupa osób sceptycznych wobec Ziobry i jego poczynania jako ministra sprawiedliwości, które są jednocześnie wyborcami Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji czy Grzegorza Brauna, czego skrajnym przykładem są transparenty na stadionach, które jeszcze pół roku temu uderzały w Trzaskowskiego, a dzisiaj krytykują Ziobrę - mówi mi ostatnio Marcin Duma, były szef Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRS. I dodał, że sprawa Ziobry to obciążenie dla Prawa i Sprawiedliwości, bo nawet je-

śli Ziobro nie powoduje samych spadków notowań Prawa i Sprawiedliwości, to na pewno uniemożliwia odbudowę poparcia, czy tamowanie ucieczki wyborców Prawa i Sprawiedliwości do Brauna czy do Konfederacji.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości doskonale zdają sobie z tego sprawę i choć oficjalnie bronią kolegi, nieoficjalnie przyznają, że ta historia im ciąży.

- Cała sprawa z Ziobrą jest męcząca i na pewno obciążająca dla całego Prawa i Sprawiedliwości. Wiadomo, publicznie mało kto chce to przyznać, ale dla naszego obozu politycznego ta sprawa nie jest korzystna. Myślę, że azyl dla Ziobry też nie będzie dobre wyhamowane przez wyborców - ocenił w rozmowie z PAP parlamentarzysta ze środowiska Mateusza Morawieckiego. Według niego, jeśli były szef MS unika kontaktów z wymiarem sprawiedliwości, „to jednak coś jest nie tak”.

Wcześniej, inny rozmówca związany z PiS zwracał uwagę, że rząd stosuje wobec byłego szefa MS te same narzędzia, które uprzednio „forsował i przy których się upierał” sam Ziobro.

- Ziobro ucieka przed tym, co sam wcześniej wymyślił i stworzył, więc to ludzi dener-



Hołownia przestał być marszałkiem Sejmu i jego kariera też zmierza w nieznanym bliżej kierunku

wuje - ocenił wtedy polityk. Więc w PiS nie ma „entuzjizmu i chęci rozzdzierania koszuli w obronę Zbigniewa Ziobry”, mimo że politycy z byłej Suwerennej Polski oczekują, by „wszyscy angażowali się w narrację obronną wobec Ziobry”.

Niektórzy zresztą, nie owijają w bawełnę, czym sprawa Ziobry jest dla Prawa i Sprawiedliwości.

- To oczywiście nas topi - stwierdził Ryszard Terlecki, wiceprzewodniczący PiS o ucieczce Zbigniewa Ziobry przed polskim wymiarem sprawiedliwości na Węgry.

Tak czy inaczej - niezależnie od wyniku wyborów parlamentarnych w 2027 roku - kariera Ziobry mocno wyhamowała, niektórzy mówią, że to polityczny koniec byłego ministra sprawiedliwości.

Szymon Hołownia też zmierza w nieznanym bliżej kierunku. Już jakiś czas temu informował, że w najbliższych wyborach nie będzie walczył o fotel przewodniczącego Polski 2050, złożył za to aplikację w publicznym naborze ogłoszonym przez sekretarza generalnego ONZ Antonio Guterresa na funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Nie wygrał jednak konkursu, w fotelu marszałka Sejmu zastąpił go Włodzimierz Czarzasty i Ho-

się zastanawiał, czy ma startować na szefa partii, będzie to konsultował z koleżankami i kolegami, a Polska 2050 jest po wielkim blamażu, jeżeli chodzi o drugą turę wyborów. Byłem naprawdę bardzo życzliwy i mam daleko idącą życzliwość dla koleżanek i kolegów, ale są jakieś granice - przyznał potem w Polskim Radiu.

Ale też Szymon Hołownia stracił w ciągu ostatnich miesięcy, tak w oczach kolegów, jak swoich wyborców. Powód? Tuż po przegranych wyborach prezydenckich odpowiedział w prywatnym mieszkaniu jednego z najważniejszych europosłów Prawa i Sprawiedliwości - Adama Bielana. Potem do mieszkania Bielana przyjechał prezes PiS Jarosław Kaczyński i wicemarszałek Senatu Michał Kamiński.

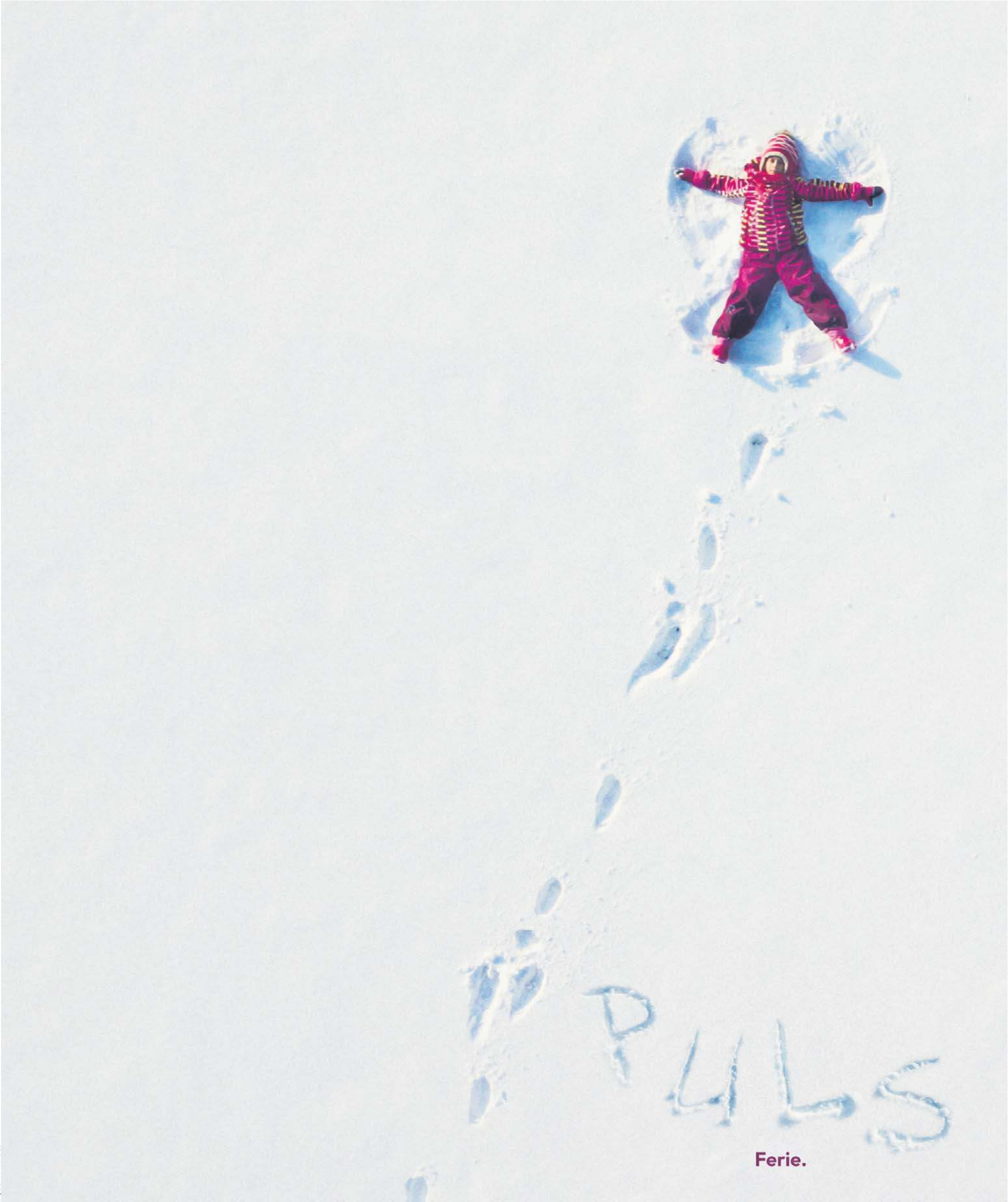
Kilka dni później Onet napisał, że Hołownia spotkał się z prezesem co najmniej dwa razy w ostatnich tygodniach. Panowie omawiali ponoć, jak obalić rząd Donalda Tuska. Według części informatorów portalu stawką Hołowni był fotel premiera w „rządzie technicznym”, zależnym od Kaczyńskiego. Według innych - Hołownia negocjował zachowanie fotela marszałka Sejmu. Obie te wersje się nie wykluczają.

Sam Hołownia zarzekał się, że nie zamierza wchodzić w koalicję z PiS-em, że chce „zdynamizowania” koalicji rządzącej, „restartu nadziei, którą przyniosła dwa lata temu”, ale - tak czy tak - zapachniało zdradą.

Już przed nocnym spotkaniem w mieszkaniu Adama Bielana Hołownia nie był w komfortowej sytuacji. W wyborach prezydenckich wypadł słabo, wyprzedził go nie tylko Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski, ale także Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun, Polska 2050 nigdy nie miała tak słabych notowań jak obecnie, a po akşamimnym rozwodzie z ludowcami, nie weszłaby do Sejmu, gdyby wybory do parlamentu odbyły się dzisiaj.

Wydaje się, że Hołownia w ciągu ostatnich miesięcy stracił wszystko, na co pracował przez ostatnie pięć lat i razem ze Zbigniewem Ziobrą otwiera ranking największych przegranych starego i początku nowego roku.

PAP



Marek Twaróg

KRYPTODYKTATURA, STYL ZIOBRY I LISTY Z WIEZIENIA



Lektura najnowszej odezwy, którą minister sprawiedliwości na uchodźstwie skierował do narodu przypominała mi, gdy jako naczelny największego tytułu na Górnym Śląsku sporo listów dostawałem z lekkiego dość więzienia w Jastrzębiu-Zdroju. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie tamtejsi drobni przestępcy uznali, że naszej redakcji warto poskarżyć się na swój zły los. Nudziło im się, więc pisali - to jasne. Ale czemu akurat do Dziennika? Nie wiem.

Ziobro, który właśnie ostatecznie uciekł pod skrzydła Orbana, kumpla Putina, by uniknąć odpowiedzialności za czyny opisane w 26 zarzutach karnych, używa dokładnie tej samej metody epistolograficznej co tamci drobni na ogół złodzieje, oszuści, pijani kierowcy i przestępcy alimentacyjni.

Otóż najpierw nakreślali sytuację ogólną: jestem niewinny, nic nie zrobiłem, prokurator się uwiązał. Ziobro ubiera to w kwiecisty styl: mamy więc „kryminalne przejęcie Prokuratury Krajowej przez grupę przestępczą Tuska”, dlatego „wybiera walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem” oraz „stawia opór postępującej dyktaturze”. Ziobro dodaje, że to „polowanie i nagonka”, a w ogóle „odwet” oraz działania „nikczemne i nieliczące z elementarnymi standardami państwa prawnego”. Jednym słowem: „kryptodyktatura”.

W listach z Jastrzębia po takim wstępie następowała część z szantażem emocjonalnym. Więźniowie pisali, że są potrzebni w domu, bo nie ma kto gwoźdźcia wbić (wcześniej nie płacili alimentów), dzieci potrzebują ojca, albo choroba sąsiada postępuje, więc trzeba mu kolegi. Miało mnie to wzruszyć i zmusić do działania. Ziobro też próbuje majstrować nam w naszych zatwardziałyach lewacko-unijnioeurokołchozowych - antypolskich - antychrześcijańskich sercach. Piszę, że ponoć minister sprawiedliwości grozi „porywaniem politycznych oponentów i wywożeniem ich w bagażniku”, a równocześnie jakiś niezawisły sędzia stał się celem „brutalnej medialnej nagonki”. Jako że są to „metody rodem ze stalinizmu”, to „mogą dotknąć każdego obywatela, ponieważ rządzący konsekwentnie likwidują niezależny wymiar sprawiedliwości”. I co wtedy, obywatelu? - zdaje się pytać Ziobro - gdy przyjdą też po Ciebie? Dokładnie tak było w listach z więzienia: „Czy pan sobie wyobraża, że i Pana mogliby wsadzić za zaledwie dwa promile alkoholu?”. Nie wyobrażałem sobie.

Ziobro wzrusza dalej: „wydarzenia w Polsce pokazują, że ofiarami brutalnej agresji obecnej władzy stają się także kobiety i matki”, bo „wobec urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości przetrzymywanych w areszcie wydobywczym stosowano metody nieludzkie”. Do tego ponoć „Giertych, uczynił dziecko aresztowanej szefowej sekretariatu premiera Mateusza Morawieckiego zakładnikiem. Zakończenie cierpień chorego dziecka, spowodowanych rozłąką z matką, publicznie uzależniał od złożenia przez nią zeznań zgodnych z oczekiwaniami władzy” - dododzi Ziobro. I dodaje: „Dziś pojawia się analogiczny scenariusz: próba potraktowania mojej żony jako zakładniczki”.

Co za emocje. Kluby GP poruszają na pewno.

Ostatecznie po wyłuszczeniu swojej sprawy więźniowie przechodzili na ogół do zapewnień, że kto jak kto, ale oni są prawnymi obywatelami i mogliby się przydać państwu, jak i swojej lokalnej społeczności, a już rodzinie na pewno. „Więcej uczynię, walcząc z postępującym w Polsce bezprawiem” - zapewnia zatem także Ziobro. - „Tak dziś rozumiem swój publiczny obowiązek” (...) „Podjąłem decyzję, że nie pozwolę, aby moje dzieci zostały pozbawione opieki matki, a moja żona - w zastępstwie za mnie - stała się ofiarą psychopatycznej zemsty Donalda Tuska. Dlatego wystąpiłem o objęcie jej międzynarodową ochroną”.

Jedyną różnicę w formule listów z Jastrzębia i listu z Budapesztu dostrzegam w zakończeniu. Jakie tam zakończenie. W przypadku Ziobry bujny styl pozwala na nazwanie tego fragmentu finałem, epilogiem lub nawet codą. Więźniowie nigdy na koniec nikomu nie grozili. Raczej uprzejmie się kłaniali werbalnie, „mając nadzieję na odpowiedź miłego redaktora”. Ziobro inaczej: „Za stosowanie brutalnych i bezprawnych metod członkowie rządzącego dziś w Polsce reżimu Donalda Tuska poniosą surowe konsekwencje. Do tej walki przyłożę rękę osobiście” - zapowiada.

Nigdy z więźniami nie korespondowałem. Mam nadzieję, że z Ziobrą też nikt nie będzie.

Leszek Waligóra

MIEKKIE SERCE I TWARDY TYŁEK KONTRA KROPELKI JADU



Nie wspieram Owsia - obwieściła Gwiazda. Gwiazda nie jest krową, zdanie może zmienić. Kiedyś wspierała. Może z przekonania, a może dlatego, że całe jej środowisko wspierało, a w jej fachu trzeba dbać o popularność. Gwiazda popularna jest dalej, choć w innym środowisku. Takim, które z niewspierania Owsia zrobiło religię. Nie wspiera więc - głośno, żeby inni wiedzieli o niewspieraniu. Nie wiem, może serduszek Gwiazdy boli, ale to cena popularności.

Oczywiście, jeśli Gwiazda kiedyś wychynie ze swojej banieczki, zauważy i innych, którzy ostentacyjnie wspierają. Też, być może, dla popularności. Bo ja, na przykład, wspieram. Choć... nie Owsia, ale ciui. Bo się wyda. Ale czegoż się nie robi dla rzeszy fanek, dla autografów, zaproszeń na czerwony dywan i uścisków dżentelmenów w czerwonych spodniach i pomarańczowych okularach. Ach, zapomniałem dodać: Owsia tą zarobioną kasą dzieli się ze mną. Miało się nie wydać...

Przyznaję: jestem krową. W sprawie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zdania nie zmieniam. Od pierwszego finału, gdy wrzuciłem jakieś grosze do puszek. Od któregoś tam kolejnego, gdy sam zbierałem do puszek. Od finału, gdy Owsia, którego mój serdeczny kolega namówił do oddania własnych okularów na aukcję w poznańskim Zamku. I przez dziesiątki kolejnych. Może i zmieniłem zdanie na temat samego Owsia, który kiedyś jawił mi się jako bezbrode wcielenie jowialnego Świętego Mikołaja, a potem okazał się eksplozywnym cholerykiem, a na koniec - sprawnym szefem wielkiej organizacji.

Kiedyś byłem naiwny, dawałem mu tę kasę bezinteresownie. Ale teraz daję interesownie. Bo się dzieli. Mniej więcej od 10 lat również ze mną. Jako szczył biegający na mrozie z puszcza, liczył na to, że do takiej korupcji nie dojdzie. Ale doszło. I gdy to się zdarzyło pierwszy raz, oczy mi się zaszklily. Tyle dobra i to wszystko dla mnie!

Pierwszy ultrasonograf, dzięki któremu obejrzałem mojego pierworodnego, miał naklejone serduszek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Pierwsze badanie słuchu - wykonano sprzętem kupionym przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Obok widziałem dziesiątki sprzętów kupionych dzięki Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. I tak, wiem, że za pieniądze NFZ było tych sprzętów kupionych zdecydowanie więcej. Ale to jest bardzo proste. Straż pożarna też ugasi więcej pożarów niż możesz ty, swoją małą gaśnicą samochodową. Ale to nie znaczy, że gdy się pali, masz na to patrzeć z założonymi rękami. To nie znaczy, że nie masz podnieść człowieka, gdy upadnie, bo jakieś służby to robią. Możesz - to pomagasz. Nie możesz - nie pomagasz. Nie chcesz? Trudno, Twoje sumienie. Ale do cholery - nie przeszkadzaj.

Była Orkiestra naszym dobrem wspólnym. Tym dniem w roku, kiedy nawet łobuzy się do ludzi uśmiechały. Powiedziałbym nawet: zwłaszcza łobuzy, bo to był ruch serdeczny, bez wyrachowania. Podpinali się pod niego celebryci i politycy, ci sami, którzy parę lat temu, dla popularności, wykonali zwrot w drugą stronę i teraz ostentacyjnie „nie dają”. Bo jakieś wahadełko populizmu im podpowiedziało, że na tym zyskają. Miejsce to, jak chore dziecko z popularnego memu, w dupie.

Robimy coś dobrego razem. Każdy na tyle, na ile może. Każdy jakąś cegiełkę, mniejszą lub większą. Wychowało się na tym kilka pokoleń. Na sprzętach kupionych z tych pieniędzy uratowano tysiące żyć. Samej idei pomagania, tego, że można to robić nie patrząc na status społeczny, polityczny, finansowy - też się uczyliśmy. Od drani po niemal świętych, przebyliśmy wielką drogę.

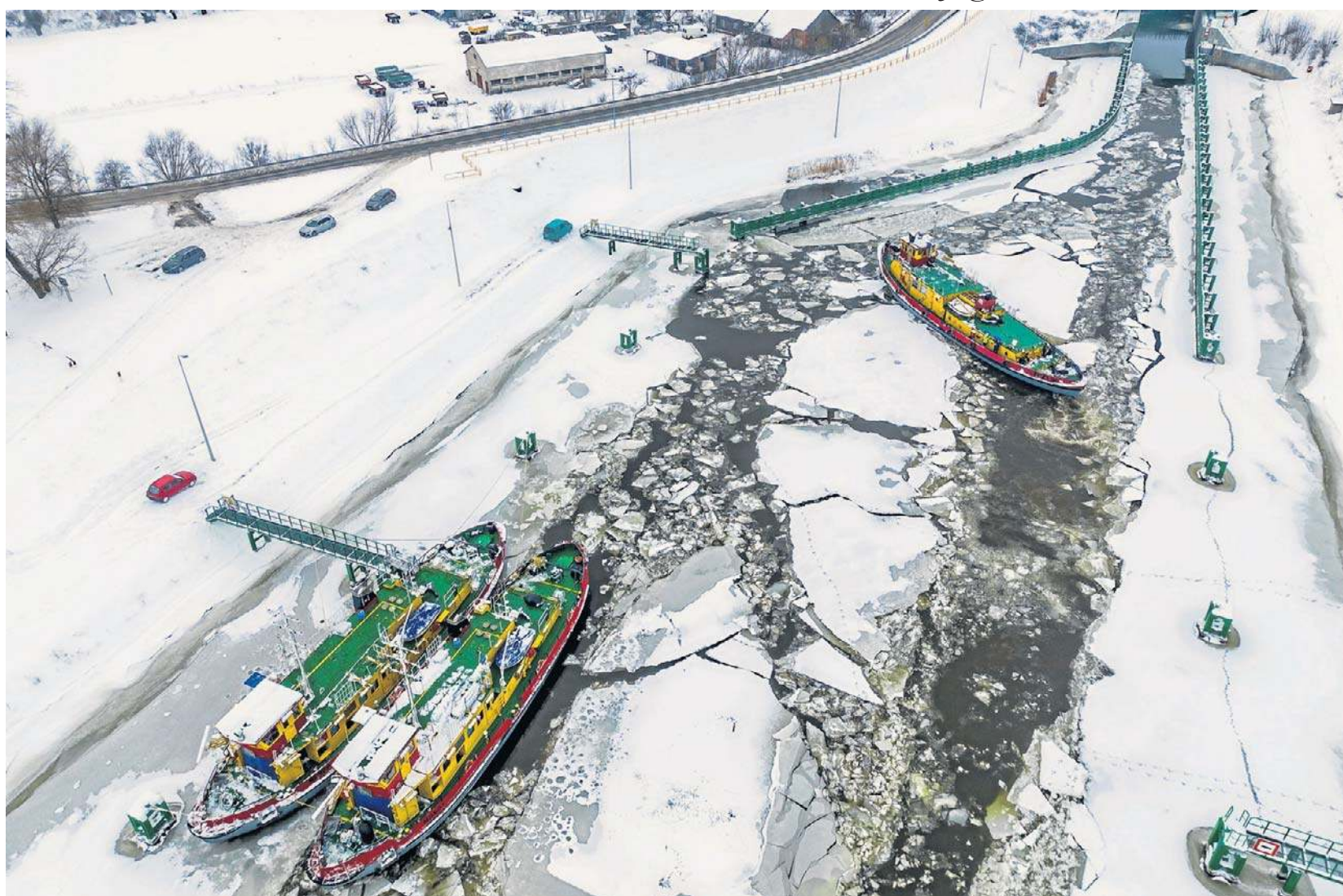
Wydawało się nam przez lata, że jako ludzie składamy się z tych samych organów, z prze wagą serca. Ale przez to, że niektórzy wykryli u siebie i zaczęli nadużywać organu odpowiedzialnego za wytwarzanie jadu, inni z nas, ci z miękkimi sercami, musieli u siebie wyhodować również twarde dupy.

Państwo wybaczą słowa, ale naprawdę ciężko mi napisać, że systemowych bojowników przeciwko idei pomagania mam w głębokim poważaniu. Bo nie mam.

Nadal utrzymujemy silną dwustronną współpracę wojskową z USA, to nigdy nie zawiodło. Wszystko, co odwraca uwagę od Rosji lub Ukrainy, jest złe. Nasza uwaga powinna być skierowana na wschód – stamtąd pochodzi zagrożenie

GENERAŁ CARL-JOHAN EDSTROEM, SZEF SZTABU OBRONY SZWECJI

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

14 STYCZNIA, POMORZE

Łącznie pięć lodołamaczy zaczęło kruszyć lód o grubości nawet 10 cm na odcinku Wisły na Pomorzu. To ważne, gdyż zatory lodowe działają jak tama uniemożliwiając wodzie spływanie do morza. Ale walkę z mrozem toczyła w tym tygodniu cała Polska. Występująca na drogach gołoledź skomplikowała komunikację kołową oraz transport pociągami. Zamarzły największe polskie jeziora: Śniardwy, Mamry i Niegocin. W skrócie - zima XXI wieku



FOT. PAP/EP/NEIL HALL

12 STYCZNIA, IRAN. Trwają zamieszki w całym Iranie przeciwko reżimowi ajatollahów. Te największe w tym wieku protesty w tym kraju wspierają USA, Donald Trump niemal otwarcie zapowiada interwencję zbrojną w Teheranie. Ale ajatollah Ali Chamenei nie zamierza się poddawać. Wytrzyma presję?



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

13 STYCZNIA, WARSZAWA. Jedną z tych dwóch pań miała stanąć na czele Polski 2050, ale drugą turę wyborów w partii anulowano. W polityce droga od powagi do śmieszności potrafi być krótka



FOT. ZHANG TAO/XINHUA NEWS/EAST NEWS

12 STYCZNIA, CHINY. W Harbinie odbył się 42. Festiwal Śniegu i Lodu. Ponad 4 mln widzów w jego trakcie miało okazję podziwiać spektakularne prace wykonane z typowo zimowych surowców

MROŹNO I BIAŁO. TAKIEJ ZIMY DAWNO NIE BYŁO

Sypnęło śniegiem, ścisnął mróz – mamy prawdziwą zimę. Jedni narzekają, inni wręcz przeciwnie. W niektórych województwach właśnie zaczynają się ferie, więc cieszą się zwłaszcza ci, którzy ruszają na zimowy wypoczynek. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, właściciele nadmorskich pensjonatów przygotowują gościnne pokoje, ale też zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat

Dorota Kowalska



FOT. ARC. POLSKA PRESS

Za oknem świat jak w bajce. Dzieci się cieszą, ale kierowcom jeździ się trudno

Świat wokół wydaje się bajkowy, wszystko pokrywa biały puch. Kiedy z psakiem wybieram się rano do lasu, mijają nas zazwyczaj ci sami ludzie z tymi samymi czworonogami. Od kilku tygodni jest inaczej – na leśnych ścieżkach tłum.

– Marszałkowska! – wybucha śmiechem koleżanka, właścicielka owczarka niemieckiego o wdzięcznym imieniu Koks.

W śniegu po kolana po lesie spacerują całe rodziny. Maluchy zjeżdżają z górki na sankach, dorośli szusują na nartach biegowych, psiaki z nosami w zaspach próbują wytropić zapach leśnej zwierzyny. Między drzewami wyrosły śnieżne bałwany z marchewkami zamiast nosa,

ziemniakami zamiast guzików i oczu. Zabawa, śmiech.

– Mnie tam do śmiechu nie jest – wzrusza ramionami nasz osiedlowy gospodarz, który od 6.00 rano odśnieża osiedlowe dróżki.

– Robota na okrągło, bo co odgarnę, zasypie znowu – narzeka. Do pomocy ściągnął syna, który przed pracą macha łopatą razem z nim.

To prawda, zima na całego. Nie tylko w Polsce – prawie 80 proc. Europy pokryte jest białym puchem. Meteorolodzy z serwisu Ventusky przygotowali specjalne mapy, które pokazują, jak zmieniał się śnieżny krajobraz w Europie od 2009 do 2026 roku. Wybrano jedną datę – 8 stycznia.

„Pokrywa śnieżna była znacznie większa tylko w 2010 i 2009 roku, natomiast podobny zasięg odnotowano w 2017 roku. W kontekście ostatnich 20 lat obecna pokrywa śnieżna plasuje się na czwartym miejscu” – wyjaśniono.

Skąd ten zimowy armagedon? Jak tłumaczą eksperci, powodów jest przynajmniej kilka. Pierwszy – nad Europą utrzymuje się silny wyż polarny, który sprowadza wyjątkowo zimne masy powietrza znad Arktyki. Drugi – to La Niña (z hiszpańskiego „dziewczynka”). Co to takiego? Obniżenie temperatury powierzchniowych wód Oceanu Spokojnego. Podczas występowania tego zjawiska pasaty przybierają na sile.

Zimne prądy morskie przemieszczają się wzdłuż równika i zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Wówczas temperatury powierzchniowych wód oceanicznych zmniejsza się o 4 stopnie poniżej normalnych wartości. La Niña wpływa na globalne prądy atmosferyczne i powoduje nietypowe warunki pogodowe w Europie, w tym zwiększoną liczbę opadów śniegu i silne mrozy. Więc mamy, co mamy. Jedni się cieszą, inni machają łopatami albo stoją uwięzieni w kilometrowych korkach.

Ferie czas zacząć

Ciesz się ci, którzy planują swoje urlopy. W tym roku ferie zimowe po raz pierwszy będą

podzielone na trzy tury, rozpoczną się 19 stycznia, a więc już w ten poniedziałek, i potrwają do 1 marca.

Adam razem z rodziną – żona, dwójka dzieci – od lat jeździ w ferie zimowe do Szczyrku. Wszyscy szusują na nartach, więc pierwszy tydzień przerwy zimowej spędzają w górach. Jest drogo, ale mają swój ukochany pensjonat, zaprzyjaźnili się z gospodarzami, u których wynajmują dwa pokoje.

– Płacimy za noclegi może nie po starych cenach, ale stosunkowo mało, a to na pewno obniża nam koszty pobytu. Możemy korzystać z kuchni, więc śniadania, kolacje, a czasami obiady przygotowujemy sami. Nie byłoby nas stać, żeby całą czwórką przez tydzień żywić się na mieście – tłumaczy.

Tym bardziej, że trzeba opłacić wyciągi. Czasami przekąsić coś na trasie.

– Ale nie wyobrażamy sobie, żeby nie pojechać w ferie na narty. Dzieci by tego nie przeżyły – wybucha śmiechem Adam. – Uwielbiam narty. Zresztą nam też zależy, żeby się trochę ruszały, były sprawne fizycznie, nie siedziały godzinami z nosami w smartfonach – dodaje.

Spędzają ten czas intensywnie. Rano śniadanie, potem na wyciąg, wracają do pensjonatu na obiad, który przygotowują razem, po południu znowu narty. Jeśli dzieciaki chcą odpocząć od stoku, robią sobie wycieczki albo idą na basen. Wracają do domu trochę zmęczeni, ale szczęśliwi.

Drugi tydzień ferii syn i córka odpoczywają w mieście. Spotykają się z kolegami, chodzą do kina, zajmują się swoimi sprawami.

Z badań wynika, że zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat. Polska Organizacja Turystyczna zapytała na przełomie listopada i grudnia dorosłych Polaków, czy w okresie od 24 grudnia 2025 roku do 1 marca 2026 roku planują wyjechać gdzieś na wypoczynek. 51 procent powiedziało – tak.

Ponad jedną czwartą wszystkich respondentów (27 procent) spędzi zimowy urlop wyłącznie w Polsce, co dziesiąty (11 procent) wyjedzie za granicę, a 7 procent z nas będzie tu i tu.

W Polsce najchętniej wybieramy góry (31 procent badanych), nad polskie morze lub do innego miasta w kraju zamierzają wyjechać co piąty badany (19 procent). W kraju najchętniej zimą wypoczywamy w gronie rodzinnym – tak deklaruje 77 procent ankietowanych, 9 procent wybierze się na krajowy wyjazd zimowy samotnie.

Chcemy głównie odpocząć, zrelaksować się, ale też zwiedzać, uprawiać sport „z dala od cywilizacji i tłumów”.

Tych, którzy zadeklarowali, że zimą polecą za granicę, POT zapytał, dlaczego nie chcą od-

począć w kraju. Co trzeci pytany wskazał, że „chciał pojechać do tego, konkretnego miejsca”, 29 procent „chciało mieć gwarancję dobrej pogody”, a 23 procent było zdania, że „wyjazd za granicę w standardzie, jakiego oczekuję, jest tańszy niż w Polsce”.

Także według danych portalu rezerwacyjnego Triverna.pl w tym roku liczba rezerwacji jest o 26 procent wyższa niż rok temu. Morze odpowiada już za 49,8 procent z nich, góry, choć taniej, notują lekki spadek udziału – z 44,9 do 42 procent rezerwacji.

– Widać wyraźnie, że część klientów szuka dziś alternatywy dla zatłoczonych kurortów górskich. Morze zimą przestaje być egzotyką, a coraz częściej jest świadomym wyborem – także dla rodzin – mówi Krzysztof Dębski, Chief Marketing Officer w Triverna.pl.

Choć wciąż dominują wyjazdy krajowe, rośnie znaczenie rezerwacji zagranicznych. W ubiegłym roku stanowiły one zaledwie 2, dziś to już 5 procent wszystkich rezerwacji, a ich udział w wartości sprzedaży jest jeszcze wyższy – zagraniczne ferie są bowiem wyraźnie droższe.

Gdzie jechać?

Tak więc góry i morze. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, ale też ferie zimowe to dla nich dobry czas. Śnieg? Jak najbardziej, on przyciąga turystów. W Zakopanem jest go nawet w tym roku za dużo. Zebrany z ulic trafił na specjalnie wyznaczone place składowe, teraz ciężarówki regularnie wywożą go z miasta.

Nie tylko drogowcy mają co robić, ratownicy górscy też szykują się na turystyczny sezon: ruch w górach zaczął się już od świąt Bożego Narodzenia, potem było święto Trzech Króli, teraz zaczynają się ferie.

Tymczasem turyści wciąż nie przestrzegają zasad. Grzech pierwszy: Idą w góry i nie sprawdzają prognozy pogody. Patrzą w niebo, świeci słońce, więc ubierają buty i ruszają przed siebie.

Grzech drugi: Są nieodpowiednio ubrani. Wchodzenie na szlaki w kłapkach czy butach na obcasach to skrajne przypadki, chociaż takie też się zdarzają. Tymczasem do górskiej wycieczki w zimie trzeba naprawdę dobrze się przygotować.

Grzech trzeci: Brak racjonalnego myślenia.

„Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę – psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji, a co za tym idzie, mają nierealne wymagania” – pisze Beata Sabała-Zielińska w swojej nowej książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć”.

Świat idzie naprzód. Czasy telefonów na korbkę w schroniskach górskich i awaryjnych ra-

dzieckich UAZ-ów, którymi jeździł GOPR, już się na szczęście definitywnie skończyły. Dziś mamy błyskawiczną formę powiadomienia o wypadkach za pomocą telefonów komórkowych, które ma w kieszeni każdy turysta, a polskie ratownictwo górskie jest obecnie jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych służb specjalistycznych na świecie. Dysponuje skuterami śnieżnymi, quadami, nowoczesnymi samochodami terenowymi 4x4 i śmigłowcem. Górcy ratownicy ochotniczy stanowiący 90 procent składu kadrowego GOPR i TOPR, 10 procent to ratownicy zawodowi. Nie mają najlepszego zdania o ludziach, którzy chodzą po górach.

„W dawnych czasach turysta, który nie przygotował się do wycieczki górskiej, ponosił tego konsekwencje. (...) Teraz jeszcze się dobrze nie ściemni, a turyści już wyjmują komóreczki i dawaj dzwonić do TOPR-u z prośbą o ratunek, przy czym ratunek ma polegać na oświetleniu im drogi. I to są sytuacje, w których my dostajemy szału - przyznają ratownicy - bo to jest dokładnie tak, jakby ktoś, komu uciekł w nocy autobus, zadzwonił na pogotowie ratunkowe z żądaniem odstawienia go do domu z racji tego, że jest ciemno, zimno i żona się niepokoi” - pisze Beata Sabała-Zielińska. I dalej cytuję ratowników TOPR-u, którzy podzielili turystów na grupy. Ich nazwy mówią same za siebie: roszczeniowy żółtodziób, profesjonalny leń, meteorolodzy telefoniczni, przemądrzały gapie.

Polskie morze też staje się coraz atrakcyjniejsze zimą. Tu zostają spacerować, zwiedzanie, relaks w nadmorskich SPA.

Ci, którzy tęsknią za słońcem, wyjeżdżają dalej. Jak mówią właściciele biur podróży, na liście zimowych hitów czy miejsc najchętniej odwiedzanych przez Polaków w styczniu i lutym są Egipt, Wyspy Kanaryjskie, Malta, Cypr.

Marta, mama nastoletniej Elizy, zawsze szuka cenowych „perełek” i zimą, w czasie ferii jest ich całkiem sporo. Obie z córką uwielbiają zimowe wyjazdy tam, gdzie ciepło i bez śniegu.

- To nie musi być wyjazd na dwa tygodnie, zazwyczaj lecimy gdzieś na tydzień. Tak ostatnio byliśmy w Egipcie, a wcześniej na Teneryfie. Wracamy z takich wyjazdów naładowane słońcem i dobrą energią - tłumaczy.

Nie wszystkich jednak stać nawet na tygodniowy wyjazd w góry, nad morze czy za granicę. Dlatego w każdej właściwie miejscowości na czas ferii zimowych kina, teatry, ośrodki i domy kultury przygotowały dla młodych ludzi spektakle, warsztaty czy spotkania z ciekawymi gośćmi. Otwarte są lodowiska, baseny, hale spor-

towe. Wiele szkół decyduje się na organizację półkolonii, chociaż tu o miejsce trzeba zaważać dużo wcześniej.

Anna, 44 lata, księgowa, matka dwóch córek w wieku szkolnym.

- Nie wyjeżdżam z córkami na ferie zimowe, ale na rozszerzony weekend w ich środku. Biorę dwa dni wolnego, ruszamy w piątek rano, wracamy w poniedziałek po południu. Najczęściej w góry, ale zdarzało nam się jechać nad morze. W pozostałe dni ferii córki chodzą na półkolonie do szkoły, są bardzo zadowolone - opowiada. - Ale mamy też inne pomysły na ten czas. W zeszłym roku jedna z córek pojechała ze swoją szkolną koleżanką do mojej siostry, która mieszka we Wrocławiu, a potem koleżanka zabrała ją do swojej babci na wieś, w ten sposób minęły jej całe ferie - opowiada. Takie koleżeńskie wymiany doskonale się sprawdzają. Druga córka też je przetestowała.

A że zima i śnieg, nawet lepiej. Bo do saneczkowych zjazdów nadają się nawet niewielkie góry, a na nartach biegowych można szusować także po nizinach.

Zimno już było

Bo umówmy się, takie zimy jak obecna, a nawet dużo, dużo sroższe już się w Polsce zdarzały. Jedną z najbardziej ekstremalnych była ta na przełomie 1928/1929 roku, gdy termometry w Żywcu spadły poniżej minus 40 st. C, a w wielu miejscach notowano jeszcze niższe, nieoficjalne odczyty. Zasy śnieżne sięgały 2 metrów, komunikacja miejska została sparaliżowana, zdarzały się przerwy w dostawach prądu. Podobnie było na przełomie 1939/1940, gdy w Siedlcach zanotowano rekordowe minus 41 stopni, a mroź utrzymywał się przez ładnych kilka tygodni.

W grudniu 1962 roku „Gazeta Krakowska” donosiła: „Prawdziwy najazd świątecznych gości przeżywają górskie miejscowości wypoczynkowe. Nie obyło się jednak bez trudności i komplikacji. Siarczyści mroź i zasy śnieżne były przyczyną licznych zakłóceń komunikacyjnych. Wszystko zakończyło się dobrze i w przeddzień świąt nasze czasowiska rozbrzmiewają wesołym gwarem”.

To był jednak zaledwie przedsmak tego, co nastąpiło w całej Polsce po Nowym Roku. Sypnęło tak mocno, że już w noworoczny wieczór ruch na wielu drogach praktycznie ustał. Opóźnienia w dostawach węgla z kopalń do elektrowni zagrażały paraliżem energetycznym.

Polska nie była wyjątkiem. We Francji Boże Narodzenie roku 1962 było najmroźniejsze od 83 lat. W Madrycie termometry wskazywały minus 6 stopni, a w Barcelonie leżało 10



Wróciły dawno zapomniane atrakcje: kuligi i przejażdżki saniami zaprzęgniętymi w konie

cm śniegu. W USA zima zaatakowała już w połowie grudnia. Nawet Florydę ścisnął kilkunastostopniowy mróz, a plantacje cytrusów znalazły się pod śniegiem. Mandarynki przeznaczone na świąteczny zbiór przymarzły do drzew.

W Polsce taka zima trzymała przez cały styczeń i luty. Na kolei tory pękały od mrozu, rwały się sieci trakcyjne, pługi śnieżne grzęzły w zaspach. Najstarsi kolejarze nie pamiętali takiej zimy.

Zawiadowca z Płaszowa mówił: „Kto tego nie widział, nie uwierzy. Dwa parowozy nie mogły uciągnąć dwóch wagonów. Na mrozie stwardniały smary, koła grzęzły w zaspach”. Po dwóch dniach sytuacja została opanowana, to znaczy, że np. pociąg z Berlina spóźnił się 300 minut, a nie 500, jak dwa dni wcześniej, a szczyński tylko 3 godziny.

Podobne sytuacje powtarzały się w ciągu tej zimy kilkakrotnie. Śnieżyce były tak intensywne, że państwowe służby nie dawały sobie rady. Do akcji wkraczało więc społeczeństwo. „Na front zimy” rzucono nie tylko załogi zakładów pracy, ale też uczniów, studentów i zwykłych mieszkańców.

W 1978 roku, czyli 16 lat wcześniej, znowu z odsieczą przybyło pospolite ruszenie. Ówczesna prasa przedstawiała

to oczywiście jako solidarny zryw ludzi pracy. W rzeczywistości stojąca już na skraju zapaści „dziesiąta gospodarka świata” nie była w stanie poradzić sobie z żywiołem. Ludzie musieli sami złapać za szufle, bo inaczej po prostu nie dałoby się żyć.

Prasa donosiła, że w całym kraju „trwa wyjątkowa batalia o przywrócenie normalnego rytmu życia”. Efekty tej batalii nie były jednak imponujące, bo choć mrozy dokuczały dużo mniej niż w roku 1963, to jednak i tym razem nad cały kraj co kilka czy kilkanaście dni nadciągały fale śnieżyc, o czym dobitnie świadczyły choćby same tytuły z gazet: „Znowu opady śniegu”, „Rekordowe opady śniegu”, „Zima ponowiła atak”, „A zima nie chce ustąpić”.

Zadowolona była jedynie młodzież szkolna. „GK” informowała: „Zakłócenia w komunikacji kolejowej i drogowej spowodowały podjęcie przez ministra oświaty i wychowania decyzji o wstrzymaniu powrotu młodzieży przebywającej na zimowiskach. W Nowosądeckiem na przedłużonych ferii pozostało ponad 1300 dziewcząt i chłopców z różnych stron kraju. Ich wyjazd będzie możliwy dopiero za kilka dni, gdy skutki kolejnego ataku zimy zostaną przezwyciężone”.

Kiedy w marcu przyszedł czas na podsumowania, zauważono przytomnie, że zima 1978/1979 była wprawdzie nieco chłodniejsza i dużo bardziej śnieżna, zwłaszcza na północy Polski, niż zimy poprzednie, jednak szczególnie się nie wyróżniła. Przypomniano zimą 1928/1929, uważaną za najchłodniejszą w XX wieku, i wojenną zimą 1939/1940. Również po roku 1980 mrozy i śnieżyce bynajmniej nie odeszły do historii. Do surowych należały zimy 1984/1985 i 1995/1996.

Można więc powiedzieć, że w naszym klimacie mniejsze lub większe zimy stulecia zdarzają się co kilka lub kilkanaście lat.

Cieszymy się białym śniegiem

W tym roku najgorzej było chyba 30 grudnia. Tego dnia, na wysokości Rychnowa w woj. warmińsko-mazurskim, trasę S7 zablokowały w obu kierunkach tiry, które nie mogły podjechać pod wzniesienia. Ludzie utknęli w kilometrowych korkach. W portalach społecznościowych pisali, że nie mogą skorzystać z toalet, nie mają co jeść i pić. Niektórym kończy się paliwo. Policja i służby drogowe stworzyły korytarz życia, którym samochody osobowe mogły z obu stron dotrzeć do Ostródy. Tam, w Urzędzie Miasta, przygotowano dla kierowców i pasażerów posiłki, pomieszczenia, w których mogli odpocząć. Tym, którzy zostali w swoich autach, policjanci dowozili ciepłą herbatę.

Mniej więcej w tym samym czasie wieś Dylewko koło Ostródy została odcięta od świata. Spadło tam około 50 cm śniegu, wiatr tworzył miej-

scami metrowe zasy. We wsi nie ma sklepu, najbliższy punkt z zakupami jest oddalony o dwa kilometry.

- Sytuacja poprawia się, ale wciąż jest poważna. Słyszałem, że ktoś próbował iść do tego sklepu na piechotę. Do Dylewka dojeżdżał też mężczyzna sprzedający pieczywo, nikt go tutaj nie widział od poniedziałku. Ludzie jedzą jeszcze to, co zostało ze świąt, mają zamrożony chleb - mówił w mediach jeden z mieszkańców miejscowości.

Inny przyznał, że nie wychodził z domu przez trzy dni, ale w końcu musiał się przekopać i jechać odebrać siostrę ze szpitala.

Mieszkańcy Dylewka porównywali obecną zimą do lat 60. i 70., ale przyznawali: wtedy zasy bywały jeszcze wyższe. Nie narzekali.

Bo nie ma co narzekać, trzeba cieszyć się białym śniegiem. Nie wiadomo, ile spadnie go za rok. W dzielnicy, w której mieszkam, za łopaty chwytają nie tylko gospodarze osiedli, ale i właściciele domów jednorodzinnych. Agata pomaga mamie, która prowadzi mały osiedlowy sklep. Razem z mężem odśnieżają podwórko i chodnik przed posesją. Obok biega dwóch małych chłopców, to synowie Agaty.

- Antoś nie wchodzi w zasy, bo śnieg wpadnie ci do butów - to Agata.

- Mamo, mamo! Śnieg! - woła malec i kładzie się w zaspie. Za chwilę dołącza do niego brat. Tarzają się w białym puchu, biją śnieżkami, ślizgają na butach.

Agata macha ręką. Dzieciaki takiej zimy jeszcze nie przeżyły, więc niech szaleją!

*MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ,
ŻE W NASZYM KLIMACIE
MNIJSZE LUB WIĘKSZE
ZIMY STULECIA ZDARZAJĄ SIĘ CO
KILKA LUB KILKANAŚCIE LAT*

– Pokrywa śnieżna to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Ale najważniejsze pytanie brzmi: kiedy i jak będzie topniał, bo od tego zależy zarówno ryzyko roztopów, jak i wiosenny zapas wody – mówi klimatolog Rafał Maszewski

Anita Czapryn

RAFAŁ MASZEWSKI: WYŻ ROSYJSKO-SKANDYNAWSKI MOŻE NAS JESZCZE TEJ ZIMY MOCNO ZMROZIĆ

Mamy zimę jak za dawnych lat, czy jednak coś ją odróżnia od dawniejszych zim? Meteorologiczna zima zaczęła się w grudniu, a grudeń był miesiącem cieplejszym od normy. Ochłodziło się dopiero pod koniec miesiąca, w trzeciej dekadzie; zima przyszła w święta i po świętach. Generalnie przez większą część grudnia nie było za bardzo zimowo, było dość ciepło. Teraz mamy mróz, miejscami sporo śniegu. To nie jest na razie żadna zima stulecia. Temperatura jest co prawda poniżej normy wieloletniej z okresu 1991-2020, zarówno w III dekadzie grudnia, jak i dotychczas w styczniu. Niektóre doby przyniosły temperaturę nawet 8-10 stopni poniżej normy. To wyraźna ujemna anomalia, która w tym naszym już cieplejszym klimacie nie zdarza się często. Zobaczymy, co będzie dalej, bo dopiero zbliżamy się do połowy zimy, a druga połowa jeszcze przed nami. Jeżeli ta druga część okaże się bardzo ciepła, to ta dotychczasowa zima pójdzie trochę w zapomnienie, ale na razie przekazamy. Jesteśmy też przed statystycznie najzimniejszym okresem roku, czyli III dekadą stycznia i początkiem lutego; wtedy średnio przypadają najniższe temperatury. Zobaczymy, jak będzie w tym roku, ale obecnie skłaniam się do dominacji przynajmniej do końca stycznia bardziej mroźnej zimy, do której przyczyni się wyż rosyjsko-skandynawski.

Media ogłaszają, że temperatury dochodzą do nawet minus 20 stopni i to nie w górach, tylko na nizinach,

na Warmii, na Pomorzu. Jak pan jako klimatolog patrzy na takie komunikaty? To sensacja czy ważny sygnał? Sensacja na pewno to nie jest. Gdyby to był październik albo kwiecień, to pewnie byłaby. Ale jest styczeń i temperatury rzędu kilkunastu stopni mrozu, nawet minus 20, w naszym klimacie, mimo że jest on cieplejszy, mogą się jak najbardziej zdarzać. Co kilka lat takie wartości mogą się pojawiać. Nawet minus 30 może się pojawić. W 2006 roku mieliśmy w Toruniu minus 32 stopnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby znów pojawiły się zbliżone wartości.

Ale to było jednak dwadzieścia lat temu.

To całkiem niedawno, patrząc na klimat. Wtedy też już się ocieplało, może nie w tak agresywnej formie jak teraz, ale jednak. Na pewno to jest anomalia, czyli temperatury poniżej normy, tej średniej z lat 1991-2020. Ale nie ma powodu robić z tego sensacji: jest styczeń, zima. Śnieg nawet 20-30 centymetrów i temperatura minus 15, minus 20 na nizinach są możliwe i po prostu się zdarzają. Coraz rzadziej, to prawda, ale się zdarzają. My też się odzwyczailiśmy, bo od 2013 roku praktycznie większość zim była bardzo ciepła. Jakieś ataki mrozu się pojawiały, ale rzadko. I dlatego trudno nam to dziś przyjąć jako normalność.

Ostatnie zimy były bez śniegu, prawda?

Tak. W niektórych sezonach śniegu prawie nie było. W sezonie zimowym 2019/2020 w wielu miejscach Polski zachodniej/południowo-za-

chodniej nie pojawił się nawet jeden centymetr. Teraz miejscami na Warmii, Mazurach i wschodnim Pomorzu mamy 30-50 centymetrów śniegu, są zamiecie i zawieje śnieżne. To przypomina takie minizimy stulecia, jak je kiedyś pamiętamy. Ale to nadal nie jest wielka sensacja; u nas to jest możliwe. Jeśli ktoś uwierzył niektórym politykom czy komukolwiek innemu, że zim już nie będzie, że śniegu już nie będzie, a rosnące palmy to kwestia niedalekiej przyszłości, to teraz widzi, że to nieprawda. Prawdą jest, że mroźnych i śnieżnych zim jest coraz mniej.

Skąd ta zima się wzięła? Co było jej silnikiem: wyże, niże, napływy powietrza? I czy nie upraszczamy, mówiąc po prostu: nadeszła zima?

W naszym kraju główny czynnik to cyrkulacja atmosferyczna. W chłodnym okresie roku ona ma największy wpływ, bo tak jesteśmy położeń. W zimie, gdy wieje z południa czy z zachodu, zwykle mamy wyższe temperatury, takie bardziej jak w Wielkiej Brytanii. Natomiast gdy powieje z północy albo ze wschodu, to w tym chłodnym okresie, od listopada do marca, bardzo często pojawia się mróz, śnieg i zima w klasycznym wymiarze. Większość poprzednich

zim charakteryzowała się cyrkulacją zachodnią: niże znad Atlantyku atakowały Europę, nasuwały się nad Skandynawię i Europę Środkową, a z zachodu i południowego zachodu kierowały do nas stosunkowo ciepłe, wilgotne masy powietrza polarnego, a nawet zwrotnikowego znad Atlantyku. Zimne powietrze było blokowane daleko na północy, nad Azją, nie miało szans się u nas zadomowić, bo Atlantyk był aktywny, wir polarny silny. Dodatkowo, co istotne, nie było wyżu, który zatrzymałby te niże, wyżu nad Skandynawią czy nad Rosją. A takie wyże często przynoszą mroźne masy powietrza. Moje badania nad cyrkulacją atmosferyczną wskazują, że w okresie zimy słabnie mroźna cyrkulacja wschodnia, a wzmacnia się łagodna termicznie zachodnia. W tym roku jest inaczej i tej zimy jest inaczej, bo pojawia się wyż rosyjsko-skandynawski i może on nas jeszcze tej zimy mocno zmrozić... „Atlantyk” jest spokojniejszy. Na północno-wschodnim Oceanie Atlantyckim częściej rozbudowują się wyże, czyli tam, gdzie o tej porze roku najczęściej powinny być niże. Nawet jeśli znad Atlantyku przebiją się w naszym kierunku niże, to są one blokowane przez wspomniany wyż na wscho-

dzie Europy. Cyrkulacja jest w 2025 i na początku 2026 r. nieco inna, preferująca niższe temperatury. Zresztą rok 2025 był inny pod względem pogody. Był chłodniejszy od 2024 roku, który z kolei był rekordowo ciepły. Mimo to rok 2025 i tak był cieplejszy od normy...

Czytałam, że klimatolodzy mówią tu o blokadzie, czyli pogodzie, która stoi w miejscu.

O blokadzie możemy mówić właśnie na Atlantyku i okresami na wschodzie Europy. Ten wyż blokuje niże, które kiedyś sunęły nad Europę, przynosząc ciepło i deszcz. Taka blokada wyżowa bywa długotrwała. I wtedy zależnie od tego, po której stronie układu jesteśmy, możemy znaleźć się w cieplejszym albo chłodniejszym powietrzu. Zresztą nie tylko u nas się ochłodziło. To są sytuacje, które zdarzają się co kilka/kilkanaście lat: lata, kiedy...

... kiedy Polska znalazła się po właściwej stronie tego układu?

Można tak powiedzieć, chociaż każdy ma subiektywne odczucia i preferuje ciepłe atlantyckie zimy lub bardziej skandynawskie. W tym roku niże znad Atlantyku trudniej do nas dochodzą, stąd cieplego powietrza jest mniej. Na najbliższe kilka dni cieplejsze powietrze może się pojawić, przynajmniej do piątku/soboty, bo niż z zachodu trochę się zbliży i je do nas skieruje. Ale cały czas podkreślam: ta zima przebiega przy innej cyrkulacji. W prognozach długoterminowych nadal umacnia się wyż nad Rosją i nad Skandynawią. Zobaczymy, co z tego

wyniknie, ale jest coraz bardziej prawdopodobne, że najmroźniejszy okres zimy jest jeszcze przed nami.

To zawsze taki moment, kiedy trudno wytłumaczyć czytelnikom, którzy mówią: „No dobrze, a gdzie to ocieplenie, skoro mamy mróz?” Po pierwsze: wiele osób, czasem celowo, a czasem z niewiedzy, myli pogodę z klimatem.

Jak wytłumaczyć różnicę między pogodą a klimatem?

Kiedy rozmawiamy o tej zimie, mówimy o pogodzie: w tym sezonie częściej napływa zimne powietrze, więc dominuje bardziej zimowy typ aury. Wyjątek, jak wcześniej wspominałem, stanowiły dwie pierwsze dekady grudnia. Pogoda to chwilowy stan atmosfery: jest ciepło, pada, jest burza, słońce, mróz; to tu i teraz. Natomiast klimat, czyli warunki klimatyczne, to uśrednione warunki pogodowe w długim czasie. Najczęściej przyjmuje się co najmniej 30 lat, a im dłuższa perspektywa, tym lepiej: 100 czy 120 lat daje spójniejszy obraz. Jeśli spojrzymy na ostatnie trzydzieści zim, zobaczymy wyraźnie, że średnia temperatura rośnie, śniegu jest coraz mniej i ten trend się nie zatrzymuje. Owszem, co kilka, kilkanaście lat trafiają się zimy mroźniejsze: można wskazać 2001 rok, potem 2006, 2010, 2011, 2012, a wcześniej 1995 i 1996. Tyle że zim ciepłych jest dziś dużo więcej niż chłodnych. Ta zima może się okazać chłodniejsza, ale wciąż nie mamy pewności, jak będzie wyglądała jej druga część, a zwłaszcza luty.

*CORAZ RZADZIEJ ZDARZAJĄ
ŚNIEŻNE ZIMY. MY TEŻ SIĘ
ODZWYCZAILIŚMY, BO OD 2013
ROKU PRAKTYCZNIE WIĘKSZOŚĆ
ZIM BYŁA BARDZO CIEPŁA*



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Rafał Maszewski: Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitszym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie

Kiedy klimat się ociepla, rośnie prawdopodobieństwo ekstremów pogodowych. Czy tę zimę też można uznać za takie ekstremum, może rzadsze, ale mocniejsze?

Zgadza się. Ocieplenie zwiększa prawdopodobieństwo różnych ekstremalnych zdarzeń pogodowych. Zmienia się pole temperatury, w Arktyce jest mniej lodu, maleje różnica temperatur, między obszarami zwrotnikowymi a polarnymi, a prąd strumieniowy zwalnia i bardziej meandruje, wygina się w jednym miejscu daleko na południe, a w innym na północ, spychając zimne powietrze na południe, a wypychając ciepłe do Arktyki. To dzieje się coraz częściej i w ocieplającym się świecie nie jest niczym nadzwyczajnym, choć bywa trudne do zrozumienia: że podczas ocieplenia klimatu w miejscach, gdzie nie spodziewamy się mroźnej i śnieżnej zimy, taka się pojawia. Natomiast to, co mamy teraz, wygląda na normalny epizod zimowy. Na razie nie ma tu nic szczególnie nadzwyczajnego. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element: wody Bałtyku są cieplejsze niż dawniej. Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitszym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie.

O Bałtyk jeszcze zapytam, ale najpierw: co dobrego robi dla nas śnieg i mróz? Za-

cznijmy od śniegu. Pamiętam rozmowę z panem wiosną, gdy susza była wiązana m.in. z brakiem pokrywy śnieżnej. Czy ten dzisiejszy śnieg może być magazynem wody na wiosnę? I czy może przy szybkich odwilżach stać się zagrożeniem powodziowym?

Pokrywa śnieżna w naszym klimacie to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Śnieg, topniejąc spokojnie, nawadnia glebę, szczególnie dobrze, jeśli grunt nie jest mocno przemarznięty. Obecnie miejscami ziemia jest mocniej zamrznięta, miejscami, tam gdzie dłużej leży śnieg, znacznie mniej i to w tych miejscach gleba i wody gruntowe najwięcej zyskają. Jest też ważna dla oziminy i roślin: już około 10 centymetrów śniegu skutecznie chroni przed wymarzaniem.

Czyli śnieg działa jak koldra?

Tak. To zamrznięta woda, a pomiędzy płatkami śniegu mamy też powietrze, więc izoluje i ogranicza wymrożenia. Gleba przemarza słabiej, a wtedy może wsiąknąć więcej wody z roztopów. Istotne pytanie brzmi jednak, jak i kiedy ten śnieg będzie topniał. Jeśli stopnieje szybko za tydzień czy dwa i wszystko zdąży spłynąć do końca lutego, efekt magazynu będzie mniejszy. Wody gruntowe trochę przybędzie, ale najlepiej byłoby, gdyby topnienie

rozłożyło się tak, by wilgoć została na marzec i kwiecień. Nie wiemy też, czy pojawi się powódź roztopowa, której dawno nie było, ponieważ wcześniej nie było, ponieważ nie było kilku czynników.

Czyli dziś liczy się nie tylko to, ile spadnie śniegu, ale i jak stopnieje?

Dokładnie. Jeśli śnieg zacznie topnieć przy wysokiej temperaturze i opadach deszczu, bez nocnych przymrozków, wzrosty stanów wód mogą być znaczne. Jeśli jednak topnienie będzie dzienne, a nocą wrócą przymrozki, przy słabszej pogodzie i bez większych opadów, proces będzie spokojniejszy, rozłożony w czasie. Może być też tak, że będzie kilka krótkotrwałych odwilży przeplatanych okresami mrozu, wówczas spływ wód roztopowych będzie rozłożony w czasie. Zwróciłbym też uwagę na zjawiska lodowe na rzekach, już dość zaawansowane, zwłaszcza w dorzeczu Wisły, ale miejscami także na dolnej Odrze. Przy roztopach, gdy rzeka jest zalodzona, dochodzi ryzyko zatorów i powodzi zatorowych, zarówno przy tworzeniu się zlodzenia, jak i podczas jego zaniku. W cieplejszych zimach te problemy często w ogóle się nie pojawiały. Jeśli teraz na kilka dni zrobi się cieplej, potem wróci mróz i znów dopada śniegu, sporo wody zgromadzi się w zlewniach rzek. Luty i marzec mogą być pod tym

względem różne. Na razie jednak w rzekach mamy bardzo mało wody, dominują stany niskie, więc jest gdzie tę wodę przyjąć. Stany wysokie pojawiają się, ale głównie z powodu tworzenia się pokrywy lodowej i blokowania przepływu przez lód. Zdecydowanie za wcześnie, by mówić o ewentualnej powodzi i jej skali.

Słyszę też takie przekonania: „Mróz wymrozi wirusy”, „Wymrozi komary”, „Będzie mniej szkodników”. Czy dłuższy mróz i śnieg naprawdę pomagają ograniczyć szkodniki?

Nie jestem wirusologiem, ale ogólnie wiadomo, że wirusy dobrze czują się w niskiej temperaturze, więc mróz nie stanowi dla nich problemu, a nawet może sprzyjać. Co innego bakterie: one w mrozie mają trudniej. Z komarami to też nie działa tak prosto. Gdybyśmy mieli zimę naprawdę potężną, nietypową jak na nasze warunki, z bardzo silnymi, długimi mrozami, wtedy można by oczekiwać większego ograniczenia m.in. liczebności owadów. Ale przy normalnej zimie, a zwłaszcza gdy jest śnieg, on w znacznym stopniu chroni wszelkie formy życia. Proszę pamiętać: na Syberii komarów i innych owadów jest mnóstwo, a jakie tam są temperatury! Przyroda potrafi się do takich przeciętnych, jak obecnie, warunków przystosować.

Przyroda jest do takich warunków przygotowana; większe zaskoczenie te warunki stanowią dla kierowców. Zwierzęta mogą mieć trudniej, ale nie dzieje się nic spektakularnego, co pozwalałoby powiedzieć, że masowo zmniejszyło ich liczebność. Zobaczymy jednak co przyniesie dalsza część zimy, bo może ona się jeszcze zaostrzyć.

Chciałabym wrócić do tego, co dzieje się na Pomorzu, nad Bałtykiem, bo najstarsi rybacy mówią, że takiej zimy nie pamiętają. Co musiało się wydarzyć nad morzem, żeby sypało tak konkretnie, żeby były zamiecie i śnieżyce właśnie w Pomorskiem?

Potrzebny jest dość specyficzny układ wyżów i niżów nad europejskim obszarem synoptycznym. Najlepiej, gdy centrum niżu ustabilizuje się na północny wschód od Polski, w rejonie Litwy, Łotwy, Estonii, zachodniej Rosji, a jednocześnie wyż rozlokowany jest na Atlantyku u zachodnich wybrzeży Europy. Wtedy z północy, praktycznie prosto z Arktyki, spływa do nas zimne powietrze, które „przelatuje” nad stosunkowo „ciepłymi” wodami Bałtyku, pobiera parę wodną, która skraplając się, zwłaszcza podczas początkowej fazy przepływu nad zimnym łodem, powoduje silne opady śniegu pochodzenia konwekcyjnego na północy Polski. Zimne powietrze napływające nad cieplejszą wodę sprawia, że wilgotne powietrze gwałtownie się unosi, woda intensywnie paruje, tworzą się chmury i opad. Ten proces potrafi się jeszcze wzmocnić, gdy chmury i wilgotne powietrze wślizguje się nad lokalne wzniesienia na Pomorzu czy na Warmii: powietrze zaczyna się tam silnie unosić i zwiększa się skraplanie pary wodnej - czasem w takiej sytuacji pojawiają się nawet burze śnieżne. Można powiedzieć, że spada nam na głowę woda, która wcześniej odparowała z Bałtyku. To trochę przypomina sytuacje znane z rejonu Morza Śródziemnego: gdy zimne powietrze napływa nad rozgrzane wody, powstają głębokie układy niżowe, które potrafią przynieść bardzo intensywne opady i powodzie. Również w rejonie Wielkich Jezior w Stanach Zjednoczonych mamy tzw. efekt jeziora, podobny jak na polskim Wybrzeżu

A czy temperatura wody w Bałtyku i obecność lodu wpływają na przebieg zimy w pasie nadmorskim? Tak. Z jednej strony: im cieplejsza woda zimą, tym

przy napływie mroźnego powietrza opady śniegu mogą być potężniejsze. Gdy woda jest chłodniejsza, potencjał do tak intensywnych opadów jest nieco mniejszy. Z drugiej strony Bałtyk w chłodnej porze roku zwykle działa na wybrzeże ocieplająco; nad morzem rzadziej utrzymują się ujemne temperatury, a mrozy nie są tak silne jak np. na Pomorzu.

Wyobraźmy sobie Polskę za dwadzieścia-trzydzieści lat. Za czym będziemy tęsknić? Za śniegiem? Czy bardziej za stabilną pogodą?

Jeśli trendy się utrzymają, a modele to sugerują, podobnie jak moje badania cyrkulacji atmosferycznej: zimą pewnie będziemy tęsknić za śniegiem, za nartami, za malowniczym przymrozkiem, za normalną zimą. Już dziś bywa, że tęsknimy za śniegiem w święta albo podczas ferii, w tym roku mniej, ale w poprzednich latach bardzo często. A od wiosny do jesieni, coraz częściej możemy tęsknić za wodą, za opadami. Susza może nas dotyczyć częściej i być jeszcze bardziej dotkliwa niż współcześnie. I jeszcze jedno: jeśli fale upałów będą dłuższe i bardziej intensywne, to będziemy też tęsknić za chłodniejszymi latami np. takimi jak ubiegłoroczne, kiedy dni upalnych było wyraźnie mniej. Czyli możliwe, że nasze tęsknoty się rozdziela: zimą za śniegiem, a w ciepłej połowie roku za deszczem, burzą i temperaturą bardziej sprzyjającą, w okolicach 20–25 stopni. Jeśli oczywiście te trendy zmian w pogodzie się utrzymają i np. nie ulegnie zaburzeniu cyrkulacja prądów morskich w północnej części Oceanu Atlantyckiego.

CV



FOT. AUTOR

Dr Rafał Maszewski

Klimatolog. Autor i pomysłodawca czasopisma elektronicznego pogodatorunium.pl, gdzie można przeczytać analizy dotyczące pogody w całej Polsce. Absolwent geografii (specjalizacja klimat i ochrona klimatu) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Popularyzuje naukę o pogodzie i klimacie w mediach.

DAM PRACĘ TOKARCE I TOKARZOWI

Od kilku tygodni każde ogłoszenie o pracy musi być neutralne płciowo. W praktyce jest zabawnie, rekruterzy ćwiczą więc językowe wygibasy

Małgorzata Oberlan

To standard XXI wieku czy „lewackie dyrdymały”? Neutralność płciowa w ogłoszeniach rekrutacyjnych to skutek implementacji przez Polskę kolejnej unijnej dyrektywy i nowelizacji Kodeksu pracy. Weszła w życie 24 grudnia 2025 roku.

Od Wigilii (co może i znamienne - pierwszy raz była dniem wolnym od pracy) w anonsie rekrutacyjnym nie wolno nikogo w przedbiegach zniechęcać do aplikacji z uwagi na płeć (czytaj: dyskryminować). Koniec z „paniami sprzątaczkami”, bo takie określanie wyklucza panów. Koniec z „sekretnymi medycznymi”, a może nawet „betoniarzami” (powinny być też „betoniarki”).

Jak sytuacja wygląda dziś w praktyce? Momentami naprawdę zabawnie, bo widać, jak rekruterzy gimnastykują się językowo. Problem bowiem w tym, że resort pracy przy okazji nowelizacji żadnych twardej wytycznych nie dał. Nie ma katalogu poprawnych i neutralnych płciowo nazw zawodów - są tylko ogólne wskazówki podane w ministerialnej interpretacji.

Nowe prawo w praktyce, czyli „sprzątaczkę” zatrudnię

13 stycznia, czyli trzy tygodnie od wejścia nowych przepisów w życie, przeglądamy lokalne ogłoszenia rekrutacyjne na popularnym portalu OLX. Widać, kto zdążył przyswoić zasady, a kto jeszcze śpi.

„Sprzątaczkę/sprzątacza” - ogłasza w dziale „zatrudnię” globalny koncern, czyli Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych. Tak brzmi tytuł ogłoszenia. W jego treści firma pisze, że „obecnie poszukuje odpowiedniej osoby na stanowisko sprzątaczkę (k/m)” - koncern wybrał więc z opresji całkiem nieźle.

„Osoba sprząająca i osoba do wydawania posiłków i sprzątania w szkole” - tak z kolei tytułuje poszukiwanego pracownika Toruńskie Towarzystwo Salezjańskie prowadzące szkołę. Dla jasności: szuka dwóch osób.

„Pracownika/Pracowniczkę ds. Utrzymania Czystości” pragnie natomiast zatrudnić spółka Media System (cytat wierny, wraz z wielkimi literami). Zapachniało poezją ogłoszeń rekrutacyjnych...

„Panów do sprzątania, koszenia i brygadzystę” - ogłasza z kolei (grzesząc!) lokalna firma oferująca pracę przy ul. Kociowskiej i Skłodowskiej-Curie w Toruniu. Dopiero dalej się reflektuje i już w treści anonsu mowa jest o tym, że „zatrudni pana lub panią”.

Sporo firm wybrało rozwiązanie opisowe. Ogłasza teraz po prostu, że „do sprzątania zatrudni”. Podobnie zresztą bywa z innymi pracami. „Do pracy w restauracji”, „Do spawania”, „Do obsługi kasy i lady chłodniczej” - takie bezpieczne nagłówki nosi teraz coraz więcej anonsów. Bezpiecznie, ale czasem językowo dość kulawo, a do tego nieprecyzyjnie dla kandydatów do pracy.

Zamieszanie w działach HR

W firmowych działach HR lekki popłoch i zamieszanie. Jedni mieli szkolenia przed nowelizacją przepisów, tym bardziej że objęły też np. jawność wynagrodzeń i inne kwestie. Inni puszczeni zostali kolejny raz na głęboką wodę. I pływają jak potrafią. Wertują słowniki (internetowe), pytają, co robić, AI (jakże zawodną czasami), podglądają innych. Wielu się wkurza „na te głupoty”, ale oficjalnie komentować nie chce.

- Trzeba zaznaczyć, że obecnie nie ma jednoznacznych wytycznych, jak dokładnie powinny brzmieć nazwy stanowisk w świetle nowych przepisów. W praktyce oznacza to, że pracodawcy muszą samodzielnie wypracować rozwiązania, które są zgodne z prawem i jednocześnie czytelne dla kandydatów - mówi Izabela Suchorzyńska, dyrektor działu marketingu w spółce Nova Trading.

To akurat bardzo duża spółka, znana nie tylko w kraju. Tutaj przygotowali się do zmian z wyprzedzeniem i oporów do komentowania tematu nie mają. - Nowe ogłoszenia o pracę przygotowujemy zgod-

nie z przepisami obowiązującymi od 24 grudnia 2025 roku, w tym z wymogiem neutralności płciowej właśnie. Dlatego stosujemy zapisy w formie „Pani/Pan”, np. „Pani/Pan spawacz-słusarz”, „Pani/Pan inżynier spawalnik”, „Pani/Pan technolog programista CNC” - dodaje Izabela Suchorzyńska.

NSZZ „Solidarność”: Są ważniejsze problemy. To lewackie dyrdymały

Zarząd toruńsko-włocławskiego oddziału NSZZ „Solidarność” suchej nitki na nowych przepisach nie zostawia. I to w oficjalnym komunikacie pt. „Głupia nowelizacja obowiązuje” i hasłem „Lewackie dyrdymały o płci i zawodzie”.

A co, jeżeli pracodawca będzie poszukiwał osobę o konkretnej płci, ponieważ facetów

JĘZYKOZNAWCY ZWRACALI UWAGĘ, ŻE BRAK JEDNOZNACZNEJ KLASYFIKACJI ZAWODÓW I WZORCÓW SPOWODUJE CHAOS, A W KONSEKWENCJI SPORY

nie ma w zawodzie, lub - zyczajnie - nie powinni go pełnić ze względów np. kulturowych, obyczajowych, a nawet prawnych? A co z normami BHP? Np. dźwiganie ciężarów są różne dla płci i w magazynie może z tym być problem nie do przejścia - zwracają uwagę związkowcy.

W swoim komentarzu do zmiany przepisów piszą też o bezrefleksyjnym „przeklejaniu słów z unijnej regulacji”

oraz o tym, że w Polsce naprawdę rynek pracy ma poważniejsze problemy.

„Zamiast rozwiązywać prawdziwe kwestie rynku pracy, tworzy się kolejne absurd, niejasności interpretacyjne i ryzyko kar dla pracodawców. Wszystko po to, by spełnić ideologiczne postulaty, które nie mają solidnego oparcia w logice obowiązującego systemu. Obowiązek »neutralizowania« języka to sztuczny konstrukt ode-

rwany od praktyki i zdrowego rozsądku, będący wyłącznie projektem lewackich środowisk” - podsumowuje regionalny zarząd Solidarności.

Pani Iwona biura sprząta.

- Facetów u nas brak

A co o nowych przepisach myśli lud pracujący miast i wsi? Czy w ogóle o nich myśli? Błędnie zakładam, że nie, i ma je raczej w nosie. Zaskakuje mnie na przykład pani Iwona, kolejna już rok sprząająca firmowe biura i urzędowe pokoje. Gdy tylko zagajam, okazuje się, że żadnych wstępów objaśniających sytuację nie potrzeba.

- Aaaa, wiem, o co chodzi. Nie wolno już w ogłoszeniach pracy dyskryminować ze względu na płeć - mówi od razu trzydziestolatka, wyłączając maszynę sprząającą. - Co ja o tym sądzę? Słusznie! No bo z jednej strony, jak tutaj już kolejny rok pracuję, to sprząają same kobiety. Facetów do tej roboty u nas brak. Z drugiej strony jednak mój mąż mechanik zna kobiety mechaników. To wyjątki w tym męskim fachu, ale są. I to pokazuje, że nie powinno się jednak z góry nikogo wykluczać przy rekrutacji.

Dalej sobie z panią Iwoną już tylko śmieszkujemy nieco z „panów sprząających biura” i ich zapewne przemóżnej chęci podejmowania się takiej pracy oraz niekwestionowanych umiejętności. Szczegółów nie zdradzimy, tak na wszelki wypadek. Czort wie, czy jeszcze tak niepoprawnie śmieszkować można...

Inspekcja pracy karać nie będzie, a w czerwcu kolejne zmiany!

Co grozi rekrutującym za naruszenie neutralności płciowej w ogłoszeniach? Na razie drzeć przed mandatami czy grzywnami nie muszą.

Jak wyjaśniał główny inspektor pracy Marcin Stanecki, Państwowa Inspekcja Pracy nie ma prawa nakładać kar za takie „niepoprawne” ogłoszenia. Nie oznacza to jednak, że pracodawca publikujący dyskryminujące treści nie musi liczyć się z jakąkolwiek odpowiedzialnością za takie ogłoszenia.

Kandydatka bądź kandydat aplikujący na wolne stanowisko pracy, którzy poczuć się nierówno traktowani treścią ogłoszenia o pracę lub dyskryminowani w trakcie naboru (rekrutacji), mogą złożyć pozew o odszkodowanie. Sąd pracy może przyznać takiej osobie rekompensatę w kwocie nie niższej niż minimalne wynagrodzenie za pracę, które w tym roku wynosi już 4806 zł brutto.

Jeśli natomiast ktoś zgłosi PIP naruszające równość płci ogłoszenie o pracę, wówczas inspektor je zbada i w razie stwierdzenia nieprawidłowości może wezwać pracodawcę do zmiany anonsu (to tzw. niewiążące wystąpienie) albo nawet wydać po-tem takie polecenie.



Takie ogłoszenia (oferta nieaktualna!) to wytrych - poszukiwanie pracowników jest dosyć neutralne płciowo. Jednak może powinny być też „pracowniczi”?

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

„GÓRA ŚMIERCI”. MAKABRYCZNA HODOWLA POD LASEM

Kiedy w czwartek wieczorem 8 stycznia do hodowli psów rasowych pod Bolimowem niedaleko Skierniewic wkroczyła policja, funkcjonariuszom ukazał się przerażający widok. Szczątki 16 martwych psów, inne zagłodzone, pozamykane w klatkach. I potworny odór. – Z tak tragiczną sytuacją zwierząt nie spotkałem się nigdy w mojej ponad 20-letniej pracy lekarza weterynarii – mówi Piotr Cymerski, powiatowy lekarz weterynarii w Skierniewicach

Natalia Zwolińska

O psach przebywających na jednej z posesji w koszmarnych warunkach zawiadomiła policję fundacja zajmująca się pomocą zwierzętom.

Słowo „koszmarnych” nie do końca oddaje rzeczywistość. – W domku holenderskim, w którym przetrzymywane były psy nie można było wytrzymać dłużej niż kilka minut. Wszystko przez silny zapach odchodów zwierząt i moczu, który uniemożliwiał oddychanie. Psy przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby załatwiały właśnie tam, bez możliwości wyjścia. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem – mówi Piotr Cymerski, Powiatowy Lekarz Weterynarii w Skierniewicach.

Najgorszy widok dopiero jednak na niego czekał.

– W szopie znaleziono 16 martwych psów. Przyczyna ich śmierci zostanie ustalona w sekcji zwłok. Najbardziej przerażający był sposób potraktowania ciał zwierząt, które przecież właściciele przynosiły dochód. Była z nich ułożona „góra śmierci”. Kolejne zwłoki narzucano na wcześniejsze. Ciężko jest określić, kiedy nastąpiły zgony zwierząt, ale widać było, że niektóre leżały już dłuższy czas. Część z ciał była rozczłonkowana, inne nosiły ślady nadjeżdżenia. Proszę mi wierzyć, że chyba nikt z nas nigdy z takim czymś się nie spotkał – dodaje wzruszony lekarz.

Tylko skóra i kości

Kilkadziesiąt zwierząt, które zostały odebrane żywe jest poddawanych cały czas badaniom. Na miejscu nie było możliwości przeprowadzenia jakichkolwiek badań ze względu na ilość zwierząt oraz potworny odór odchodów, w których przetrzymywane były psy.

Podczas badania jednego z owczarków australijskich okazało się, że jego waga to 5,4 kilograma, podczas gdy powinna wynosić od 18 do 20 kg. U suki wykryto obustronne zapalenie

pluc, guzy listwy mlecznej, problemy neurologiczne, ogromne wyniszczenie organizmu oraz zaniki mięśniowe. U owczarka zaniknęły nawet mięśnie skroniowe, na szyi i na łopatkach zaniknęły również wszystkie mięśnie – została sama skóra i kości.

Również bernardyny są skrajnie zaniedbane.

„Widziałeś kiedyś 28-kilogramowego bernardyna? Tego obrazu nie da się wyrzucić z głowy. Bernardyn, pies który powinien ważyć grubo ponad 60 kg, stoi przed Wami jak cień samego siebie. Ponad 30 kg niedowagi. Wyniszczenie całego organizmu, zapadnięte boki, brak mięśni, brak sił. Psy, które rzucają się na jedzenie, jakby każdy kolejny kęs mógł być tym ostatnim w życiu” – czytamy na profilu Fundacji dla Szczęściu Judyty.

Hodowla pod lasem

Mieszkańcy Woli Szydłowieckiej wiedzieli, że daleko od wsi, pod lasem, znajduje się hodowla. Jednak właścicielka nie miała kontaktu z mieszkańcami, a nawet z sąsiadką. Kiedy ta przywoziła zawiadomienie o podatku, nikt nie otworzył jej bramy.

– Ta hodowla była pod samym lasem. Czasami przejeżdżałam z dziećmi rowerem obok lub przechodziłam idąc na spacer. Zawsze prosiłam dzieci o ciszę, bo jak jeden pies zaczął szczekać, to nagle wszystkie zaczynały. A ja boję się psów. Zwierzęta było słychać, ale nie można ich było zobaczyć z bliska, bo znajdowały się w kojach daleko od płotu. Zawsze widać było pojemniki po mięsie i słome, to każdemu się wydawało, że są zadbane. Chyba każdy wiedział, że „pod lasem” jest hodowla, ale nikt się nie spodziewał, że osoba która zawodowo zajmuje się hodowlą zwierząt może je doprowadzić do takiego stanu – mówi Małgorzata Dylewska, sąsiadka Woli Szydłowieckiej.

Psy w hodowli nie miały dostępu do wody, a ich pokarm stanowiły odpady mięsne. Przez całe dni przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby



W takich warunkach, w transporterach ustawionych jeden na drugim w domu holenderskim, były przetrzymywane psy. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem

fizjologiczne załatwiały tam gdzie spały, a na dwór wychodziły zaledwie co kilka dni.

Każdy właściciel psa, który musi pożegnać się ze swoim pupilem, wie że to ciężkie przeżycie. Wielu właścicieli dokonuje „pochówku” swojego przyjaciela, inni decydują się na kremację lub oddanie do specjalnej firmy. Właścicielka hodowli miała zupełnie inny sposób „pozbywania się zwłok”. Trzymała je w pomieszczeniu.

Co wie Związek Kynologiczny w Polsce?

Udało nam się dotrzeć do hodowcy, który został wyrzucony

nie spodobało – mówi Przemysław Szoplewski z Hodowli Owczarków Niemieckich Długowłosych.

Dodaje, że prowadzi ze Związkiem batalię sądową, która ma zakończyć się pod koniec stycznia. Już zapadł wyrok o niesłusznym wykreśleniu z ZKwP oraz nakazujący ponowny wpis. Wyrok nie został wykonany.

– Kiedy ponad 4 lata temu zacząłem informować władze związku o tym jak układ w ZKwP FCI działa na niekorzyść dobrostanu zwierząt, nikt nie chciał mnie słuchać. Mówiłem o hodowlach zarejestrowanych pod innymi adresami, o oszustwach przy prześwietleniach wśród owczarków niemieckich, oraz oszustwach przy egzaminach prób pracy w rasie owczarek niemieckich. Informowałem o psach zamkniętych całymi dniami w przyczepach w hodowli jednego z sędziów. To wszystko nie tylko spuszczone do ścieku, ale postanowiono zrobić ze mnie oszusta, wariata – mówi nam Szoplewski.

Co na to ZKwP? Czy złe traktowanie zwierząt było „zamiatane pod dywan”? Czy w ogóle ktokolwiek sprawował jakąkolwiek kontrolę nad zarejestrowanym w związku hodowlami? Te właśnie pytania wysłaliśmy do Związku Kynologicznego w Polsce – Oddział w Gdyni, gdzie zarejestrowana była podskierniewicka hodowla. Ponieważ nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi z gdyńskiego oddziału, te same pytania wysłaliśmy do Zarządu Głównego Związku Kynologicznego w Polsce. Zostaliśmy poinformowani, że uzyskamy odpowiedzi, jednak do momentu składania gazety ich nie otrzymaliśmy.

Tymczasem przedstawiciele zarządu złożyli pismo do Urzędu Miasta i Gminy Bolimów. Zobowiązują się w nim do niesienia pomocy psom, które zostały odebrane z hodowli prowadzonej na terenie gminy Bolimów.

Dodatkowo władze ZKwP zobowiązują się do objęcia najbardziej potrzebujących psów specjalistyczną opieką weterynaryjną. ZKwP zaofiarowało możli-

wość umieszczania takich zwierząt w Uniwersyteckim Centrum Medycyny Weterynaryjnej w Poznaniu, gdzie mogą uzyskać pełną diagnostykę i kompleksowe leczenie. Koszty leczenia zwierząt ma pokryć Związek.

Związek Kynologiczny w Polsce złożył na piśmie oświadczenie pełnej gotowości do współpracy ze wszystkimi właściwymi organami, w tym również z organami ścigania. Dodatkowo zadeklarowano również pomoc w zapewnieniu domów tymczasowych i stałych dla wszystkich psów odebranych z hodowli. Ma to być realizowane we współpracy ze strukturami ZKwP oraz osobami gotowymi do przyjęcia zwierząt pod opiekę.

Znikająca hodowla

Sprawą zajmuje się Wydział do spraw Walki z Przestępczością Gospodarczą i Korupcją Komendy Miejskiej Policji w Skierniewicach. Do tej pory nikt nie został zatrzymany i nikt nie usłyszał zarzutów.

– Policjanci cały czas analizują zebrany na miejscu materiał dowodowy. Przesłuchiwanie są kolejni świadkowie. Czekaemy również na opinię biegłego lekarza weterynarii – mówi młodszy aspirant Aneta Placek, oficer prasowy Komendanta Miejskiej Policji w Skierniewicach.

Na tym jednak nie koniec. Okazuje się, że wśród odebranych zwierząt znalazły się psy, które przebywały tam w „hotelu”. Właścicielka, również członkini ZKwP, próbuje je teraz odebrać. Czy wiedziała w jakich warunkach będą przebywać jej wystawowe zwierzęta? Próbowaliśmy się z nią skontaktować, ale bez skutku. Z mediów społecznościowych zniknęła większość postów hodowcy, której psy znajdowały się w „hotelu”.

Hodowla Nescaland, z której odebrano psy zniknęła z mediów społecznościowych. Nie znajdziemy tam również właścicielki psów. Wyszukując stronę internetową hodowli dowiadujemy się, że „ta witryna jest nieosiągalna”.

Mam przed sobą pani książkę „Slow work. Jak pracować mniej i mądrzej” i chciałam zapytać, co to dla pani znaczy slow work?

Kiedy zaczęłam się temu przyglądać, nie znalazłam jednej, konkretnej definicji, takiej, która jasno by porządkowała, czym jest slow work. Mam też poczucie, że w pewnym sensie sama ukułam tę nazwę, bo byłam zafascynowana ideą slow life, czyli bardziej świadomego życia. Potem zobaczyłam, że określenie slow work też funkcjonuje i pewnie mogłabym przywołać tu kilka różnych definicji. Ale ta, która jest mi najbliższa, to podejście do siebie w pracy z miłością i szacunkiem. Za tym kryje się wiele elementów, bo żeby w ogóle mieć do siebie miłość i szacunek, trzeba mieć świadomość tego, co mi służy, a co nie, jakie mam zasoby, co jest dla mnie ważne. Dopiero wtedy mogę podejmować decyzje, które są dla mnie dobre. Tak bym to ujęła: to podejście do siebie w pracy z miłością i szacunkiem. Czasem spotykam się z określeniem, że to wolna praca.

Niektórym może się kojarzyć z włoskim strajkiem, czyli że wszystko robimy wolno.

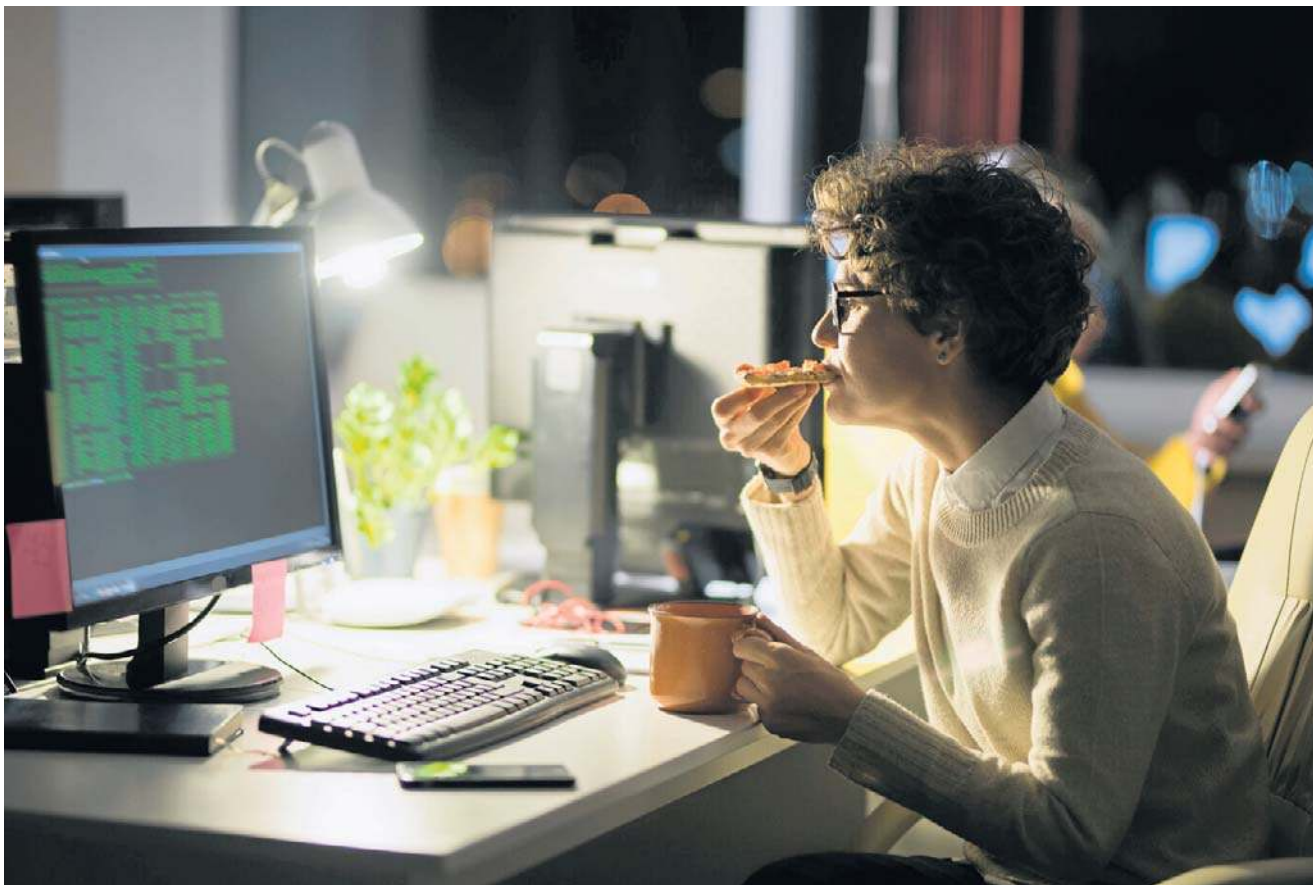
Tak, powoli pracuję, czyli siedzę z kawą, natchniona... I faktycznie, docierają do mnie też takie skojarzenia. I jasne, może się zdarzyć, że pracujemy wolniej, ale nie do końca o to chodzi. Chodzi o takie tempo, które nie niszczy naszego zdrowia, nie niszczy ważnych dla nas relacji i nie niszczy poczucia sensu tego, co robimy. Tempo, które mieści się w naszym życiu, a nie wypiera nasze życie. Praca jest częścią naszego życia, ale nie jest fundamentem, nie jest jedyną rzeczą w naszym życiu. Warto też podkreślić, że taki sposób pracy skupia się na efektywności dzięki priorytetom i na jakości, bo wybieramy to, co naprawdę istotne.

Jak to się zaczyna? Po czym się poznaje, że już się przekroczyło granice i stało się praco-holikiem?

Zaczyna się zazwyczaj bardzo łagodnie. Najpierw zostajemy dłużej w pracy, z myślą: „To tylko chwilowo, muszę to dokończyć, bo deadline, bo projekt...”. I tak powoli granice się przesuwają. W pewnym momencie praca przestaje być tylko obowiązkiem - staje się też sposobem regulowania emocji. Daje ulgę, pomaga opanować napięcie, czasem wypełnia poczucie pustki, które czujemy w innych sferach życia. Stopniowo zaczyna się coś, co można nazwać uzależnieniem od samego bycia w pracy. Człowiek zaczyna czuć, że tylko tam - przy zadaniach, projektach, obowiązkach - jest w porządku, że

– Największą dźwignią zmiany w firmie są zasady. Jeśli ustalimy, że po godzinach nie ma e-maili, albo że spotkanie nie może się odbyć bez celu i agendy, zmienia się planowanie dnia, odpowiedzialność i komfort pracy. Zasady mogą wspierać ludzi, albo ich „zużywać” – mówi psycholożka i liderka HR Iwona Krasoń-Forkasiewicz

Anita Czapryn



Iwona Krasoń-Forkasiewicz: Chodzi o takie tempo, które nie niszczy poczucia sensu tego, co robimy

IWONA KRASOŃ-FORKASIEWICZ: JAK PRACOWAĆ, ABY SIĘ NIE WYPALIĆ

tylko wtedy jego emocje są „w normie”, albo że wtedy czuje się ważny. Granica między życiem zawodowym a prywatnym zaczyna zanikać. Praca przestaje być narzędziem, a staje się sposobem na funkcjonowanie, na poczucie sensu czy bezpieczeństwa. I nie jest to kwestia braku silnej woli, tylko mechanizmu, który może nas wciągnąć, jeśli nie mamy świadomości, co się dzieje.

Zdarza się, że po rozwodzie albo po tym, jak umiera partner czy partnerka, ludzie rzucają się w pracę. Bo wtedy przychodzi ulga, a praca daje też poczucie wartości?

Tak, praca może przynosić chwilową ulgę, odwracać uwagę od straty i zapewniać poczucie sprawczości oraz wartości. Choć tego typu doświadczenia najlepiej przepracować. Zaniżone poczucie własnej wartości sprzyja rów-

nież nadmiernemu inwestowaniu w sferę zawodową. Wartość własna bywa wtedy budowana głównie w oparciu o efektywność, realizację celów i zewnętrzne oceny. Tożsamość zawodowa zaczyna pełnić funkcję kompensacyjną: stanowisko, osiągnięcia i status stają się podstawą poczucia „bycia kimś”. Dobrze ilustruje to przykład osoby przechodzącej na emeryturę (znany mi z życia), która wraz z zakończe-

niem aktywności zawodowej traci codzienną strukturę, rytm dnia oraz istotne źródło sensu. W przypadku braku alternatywnych ról, zainteresowań czy pasji, taka zmiana może prowadzić do dezorganizacji funkcjonowania i zwiększać ryzyko rozwoju objawów depresyjnych, wymagających interwencji terapeutycznej.

Mnie zdarzało się dzwonić do bliskiej osoby i słyszeć

w słuchawce tylko: „Oddzwonię do ciebie, teraz nie mam czasu”. I tak przez całe lata: „Nie mogę teraz rozmawiać, oddzwonię”. A potem mnie samej się to przydarzyło. Dlatego poruszyła mnie scena, o której pisze pani we wprowadzeniu do książki: kiedy przyjechał do pani tata, a pani siedziała nad raportami i nie miała dla niego czasu. Kiedy nastąpił ten moment, że zorientowała się pani, że nie było warto siedzieć nad raportami tylko pójść z tatą do kina? I czy dzisiaj czuje pani żal, czy sobie przebaczyła?

Jeśli dobrze pamiętam, było to około 14 lat temu. I od tamtego momentu zaczyna się cała moja droga: od pracobolizmu i wypalenia do slow work, czyli do wspierania ludzi w bardziej świadomej pracy. W każdym razie wtedy, w tamtym czasie, nie czułam, że to jest coś złego.

Praca była dla pani nadrzędna, była wartością?

Dokładnie. Pyta mnie pani, czy mam żal, czy sobie przebaczyłam i nie mam tu łatwej odpowiedzi. Chyba żadnej z tych emocji nie czuję. Raczej czuję smutek. Smutek, kiedy myślę o tamtej sytuacji, i smutek do siebie z tamtego okresu. Mój tata już nie żyje, a był taką ciepłą, dobrą i mądrą osobą. To wspomnienie dziś akceptuję: było bolesne, ale bardzo cenne, bo nadało mi priorytety. I teraz, kiedy czasem mam tak, że praca mnie ciągnie i mogłabym jeszcze w niej być, ale ktoś mnie gdzieś zaprasza albo potrzebują mnie moje dzieci, to wybieram relację, nie pracę po godzinach czy w wolne dni. Ta sytuacja stała się dla mnie drogowskazem. Nie da się wszystkiego cofnąć. Ale to mi też uświadomiło, że czasu z bliskimi nie mamy na zawsze.

Co to znaczy, kiedy oddajemy się pracy, że ona nas pochłania? Czym ona dla nas jest albo czym się staje w naszej drodze ku pracobolizmowi?

Można powiedzieć, że praca jest nadrzędna. Może dawać poczucie wartości i pewną iluzję kontroli. Może stać się odpowiedzią na pytanie „Kim ja jestem”. Zaczynamy definiować siebie wyłącznie poprzez pracę, a to jest już niebezpieczne. Jest takie amerykańskie powiedzenie, żeby nie wkładać wszystkich piłek do jednego kosza. Dla naszego szczęścia i dobrostanu praca jest ważna, ale tak samo istotne są relacje, czas po pracy, hobby i zainteresowania. W długoletnim badaniu na Uniwersytecie Harvarda obserwowano 456 chłopców, a potem mężczyzn, przyglądając się źródłom szczęścia. Jednym z kluczowych wniosków było to, że relacje odpowiadają za satysfakcję i poczucie szczęścia z życia. Praca może być istotna, ale nie może nas zdominować tak, że

tracimy ogląd innych obszarów. I jeszcze jedna ważna rzecz: doświadczenia ostatnich lat, jak pandemia, pokazały, że jeśli wszystkie zasoby skupimy w jednym miejscu - np. w jednej pracy - i nagle tracimy to źródło dochodu, jesteśmy w trudnej sytuacji. Dlatego warto mieć plan B, drugą nogę, coś, co daje poczucie bezpieczeństwa i odporności w niepewności.

Chciałabym wrócić do tego momentu, kiedy człowiek zaczyna zauważać, że chyba w tym swoim pracobolizmie poszedł za daleko. Jakie są te pierwsze sygnały? Świadomość, że przez rok nie miało się ani jednego weekendu? Pojawiające się zmęczenie? Albo, że człowiek staje się cyniczny, obojętniejszy na inne rzeczy? Myślę, że pierwsze objawy są raczej niewinne; to takie wcześniejsze sygnały ostrzegawcze. Cynizm to już bardziej zaawansowane stadium. Na początku to bywa psychiczne i emocjonalne wciągnięcie: ciągle myślimy o pracy po godzinach, w weekendy; nie jesteśmy obecni w życiu poza pracą. Pojawia się poczucie winy, kiedy nie pracujemy albo odpoczywamy, bo wydaje się nam, że powinniśmy pracować. Może pojawić się rozdrażnienie, kiedy nie mamy dostępu do telefonu czy e-maila. I jeszcze coś: zaczynamy uzależniać własną wartość od wyników pracy. Zostawianie po godzinach staje się normą, bo wciąż mamy poczucie, że jeszcze coś trzeba zrobić.

Co się wtedy traci? Kiedyś do kina zaprosił mnie mężczyzna, ale zamiast oglądać film, cały czas sprawdzał komórkę i nadchodzące wiadomości, bo coś się działo w jego firmie i musiał to kontrolować. Po-myślałam: jaki biedny człowiek, nie umie się wyluzować. Dokładnie. I nie zauważał pani, bo myślałam, że straciłam, to myślę, że straciłam obecność - obecność w życiu poza pracą. Część tej obecności utraciłam: nieustannie byłam myślami w pracy, a swoim zachowaniem sygnalizowałam, że „jeszcze coś trzeba”, że coś jest ważniejsze niż osoba i zadania, które były wówczas w moim życiu.

W książce pisze pani także o poczuciu bycia niezastąpioną, o tym, że „Ta firma beze mnie nie istnieje”. Oczywiście wiemy, że to złudzenie, ale u pani moment ciężki pokazał, że jednak da się pani zastąpić. Czy to było bolesne, że firma sobie radzi bez pani? Tak, to mnie zabolowało. I potrząsnęło mną. Miałam poczucie, że daję z siebie tak dużo i że jestem właśnie niezastąpiona. Ten moment uświadomił mi, że jestem zastępowana i że

swojej wartości nie mogę budować tylko na tej jednej roli.

Wśród ludzi z mojego pokolenia często powtarza się termin, że zostaliśmy wychowani, mówiąc łagodnie, w kulturze zapieprzania. Dziś, zwłaszcza dla pokolenia ZET, brzmi to jak żart, a jednocześnie my wiemy, że to w praktyce bywa przemocowe. Chciałam zapytać o inne przykłady z życia, o sytuacje, które ładnie się nazywa, ale praktyka pokazuje, że to jednak jest przemoc w pracy.

Często przemoc w pracy jest bardzo subtelna, ukryta pod ładnymi nazwami. Myślę, że wciąż dużym wyzwaniem jest konstruktywna komunikacja - feedback zamiast oceniać, krytyka w formie wsparcia, a nie publicznego upokarzania. Mamy też „kulturę wyników”, która w praktyce może oznaczać wymuszanie nadgodzin, rywalizację między pracownikami, a czasem sytuacje, w których kogoś ‘rzuci się na głęboką wodę’. Przydziela się mu więcej obowiązków niż jest w stanie udźwignąć, zostawia bez wsparcia, a słowa ‘dasz sobie radę’ w rzeczywistości oznaczają: ‘radź sobie sam’. Jeśli po takich doświadczeniach nie jesteśmy w stanie funkcjonować w żadnej innej sferze życia - bo jesteśmy tak wyczerpani, że jedyne, na co nas stać, to paść na kanapę i sięgnąć po wino - to znak, że równowaga została zaburzona. Zdrowa praca powinna zostawiać przestrzeń na życie - na kino, teatr, czas z bliskimi. Chodzi o to, by praca nie pochłaniała całego naszego dziennej życia.

Jako liderka HR, czego dzisiaj już by pani nie zrobiła, a co, pracując w HR i zgodnie z procedurami kiedyś pani wykonywała? Pracuję w HR od 18 lat i myślę, że procedury nie mogą przykrywać człowieka. Kiedyś ważne były dla mnie procedury i procesy, żeby wszystko sprawnie funkcjonowało. Dzisiaj traktuję je bardziej jako narzędzie, które ma służyć ludziom. Nasze człowieczeństwo jest w cenie i to jest cena, którą warto zapłacić.

Jest jedna taka rzecz, którą można w korporacjach systemowo zmienić, żeby zapobiegać pracobolizmowi i temu, co się z nim wiąże, czyli wypaleniu zawodowemu? Myślę, że warto przyjrzeć się zasadom, które funkcjonują w firmie, tym formalnym i nieformalnym. Byłam niedawno na konferencji dotyczącej strategii biznesowej i był tam Rami Baitieh CEO Morrisons. Bardzo trafnie opisał to, jak zwykle myślimy o zmianach w firmach. Powiedział, że często uważamy, iż zmiana kultury organizacyjnej odpowiada

za 65 procent realnych zmian, zmiana procesów za 25 procent, a zasady tylko za 10 procent. Jednak wskazał on, że jest zupełnie odwrotnie: największą dźwignią zmian są właśnie zasady. To mnie trochę zasmuciło, bo ja lubię myśleć o kulturze pracy, ale jego pointa była jasna: zasady odpowiadają nawet za 65 procent zmiany. I tu naprawdę można dużo zmienić. Na przykład: jeśli w firmie jasno ustalimy zasadę, że po godzinach pracy nie wysyłamy e-maili ani wiadomości, bardzo szybko zmienia się sposób planowania dnia, odpowiedzialność zespołu, poczucie komfortu pracowników. Albo inny przykład: jeśli ustalimy, że żadne spotkanie nie może się odbyć bez celu, agendy i informacji, jakie materiały trzeba przeczytać wcześniej, to ludzie zaczynają szanować czas i energię. Nie robią dziesięciu tysięcy spotkań, tylko podchodzą do tego inaczej. Warto więc sprawdzać, jakie zasady naprawdę obowiązują w firmie i czy one wspierają pracowników, czy powodują, że, kolokwialnie mówiąc, ludzie się „zużywają”.

No właśnie, dość często się słyszy: „U nas panują takie zasady”. Ale te zasady tworzą przecież ludzie. To nie jest coś danego odgórnie, tylko coś, co sami ustalamy i kształtujemy. Wróćmy do książki i do tego, jakie było pani zamierzenie? Co ta książka ma dać czytelnikom, jak pani sama to widzi? Ta książka jest połączeniem nauki z praktyką. Chciałam w niej pokazać drogę, którą sama przeszłam. Zależało mi na realnej pomocy i na tym by przyspieszyć budowanie świadomości. Nikt nas nie przygotowuje do funkcjonowania w świecie pracy. Firmy mają swoje polityki, zasady, regulacje, a my wchodzimy w ten system bez mapy. Rzadko zastanawiamy się nad tym, co nam służy, a co nie; po co pracujemy, co lubimy, a czego nie lubimy robić. Po prostu naczyliśmy pracę i trwamy w niej. Tymczasem praca zajmuje ogromną część naszego życia - zwykle zaczynamy ją po studiach, około 24. roku życia i często pracujemy aż do 60 lub 65. roku życia. To większość naszego dorosłego życia. Dlatego zależało mi na tym, by pokazać, jak nie wypalić się zawodowo i jak sprawić, by praca była nie tylko obowiązkiem, lecz także źródłem sensu i satysfakcji.

Jak tę książkę czytać, żeby nie była kolejnym poradnikiem mówiącym: „Musisz naprawić samą siebie”? Jakie ćwiczenia wskazałyby pani osobom, które są naprawdę przemęczone, wypalone, nie mają siły na wielkie zmiany i od czego mają w ogóle zacząć? Proponuję, żeby czytać tę książkę powoli, z przerwami,

dając sobie czas głównie na ćwiczenia. Oczywiście można ją przejrzeć w jeden wieczór, ale co to zmieni, jeśli tylko przeczytam? Jeśli natomiast naprawdę przerobimy ćwiczenia, zyskamy sporą dawkę samoświadomości. A świadomość daje wybór. To trochę jak w psychoterapii: mamy rzeczy nieświadomione, które nami kierują. Kiedy wydobywamy je na światło dzienne, zaczynamy podejmować decyzje świadomie. Nawet jeśli czasem wybieramy coś, co nam nie służy, to nadal jest to nasza świadoma decyzja. I o to samo chodzi mi tutaj: żeby nie być wyłącznie w trybie reagowania na to, co dzieje się w pracy, ale zacząć też kreować swoją drogę. Oczywiście nie wszystko da się zmienić. Slow work nie oznacza, że jak zacznę pracować w taki sposób, to ominą mnie trudności i wyzwania. To byłaby fikcja. Trudności i wyzwania będą. Spotkamy ludzi, którzy nam nie pasują, czasem kultura w firmie będzie trudna. Ale kiedy mamy świadomość, co jest dla nas ważne, łatwiej podejmować decyzje, łatwiej stawiać granice, łatwiej rozmawiać z przełożonym. Jeśli miałabym wskazać jedno ćwiczenie dla osoby naprawdę przemęczonej, to: zatrzymać się i odpowiedzieć sobie na pytanie, co mnie teraz najwięcej kosztuje? Czy mam na to wpływ, czy nie mam? Jeśli mam wpływ, to co mogę z tym zrobić? Jaki jeden mały krok mogę wykonać? I jaki on ma być? Nie polecam rzucania się na głęboką wodę. Jeśli ktoś pracuje 10 godzin, to raczej niech nie zaczyna, że od jutra będzie pracował 8 godzin. Może zacznę od tego, że kończę pracę 15 minut wcześniej i przez tydzień próbuję te 15 minut utrzymać. Potem w kolejnym tygodniu dokładam kolejne 15. Krok po kroku. Albo zastanawiam się: czy ja naprawdę muszę robić wszystko sama? Czy mogę coś delegować? Czy mogę porozmawiać z przełożonym o obciążeniu? Czy da się część pracy rozdzielić na inne osoby?

Zwróciłam uwagę na proste kroki, które proponuje pani w książce: żeby zapisać, co nas regeneruje, co nas wypala, co nas wciąga w strefę przetrwania. Jakie dwie-trzy rzeczy najczęściej naprawdę ludzi regenerują, a co jest taką fałszywą regeneracją, bo niby wyjeżdżam na weekend, żeby poczuć luz i odpocząć, ale w praktyce jadę do spa z laptopem? Może to banał, ale myślę, że warto zwrócić uwagę na sen. Taki prawdziwy: 7-8 godzin porządnego snu. Druga rzecz to relacje, w których czujemy się dobrze; takie, gdzie możemy być sobą, gdzie się śmiejemy, ale też potrafimy porozmawiać głębiej. Nie te relacje,

w których się męczymy, udajemy albo robimy coś z powinności. Trzecia rzecz to hobby, coś, co resetuje głowę. Niedawno zaczęłam grać w tenisa i to mi totalnie pomaga: skupiam się na piłeczce tenisowej, nie myślę o niczym innym. No i bycie offline, wyłączanie się. Czasem wystarczy prosty gest: na koniec dnia pracy zamknąć wszystkie okna przeglądarki, te pięćdziesiąt zakładek i wyłączyć komputer. To jest drobniaczek, ale działa. Jeśli chodzi o fałszywą regenerację, to myślę, że jest nią scrollowanie social mediów. To często bardziej zabiera energię, niż ją daje: po przeglądaniu bywa, że jesteśmy jeszcze bardziej zmęczeni, przebudzowani, już nie wiemy, co i jak, bo tych informacji jest za dużo. To jest złudzenie odpoczynku. Dobrym pomysłem jest kontakt z naturą: spacer, park, wyjazd nad morze, ale naprawdę z odłączeniem się od Internetu. Nie mówię o przejściu z dnia na dzień ze 100 procent bycia w online na 0 procent. Raczej o tym, by robić sobie krótkie przerwy, na przykład 30 minut bez powiadomień. Fałszywą regeneracją może być też siedzenie przed telewizorem po pracy. Nie mam nic przeciwko, sama czasem tak robię, ale jeśli to jest chroniczne, codzienne padanie przed ekranem, to w dłuższej perspektywie nie regeneruje. Alkohol i używki również: to bardziej otępienie niż odpoczynek. Nie dają prawdziwej regeneracji.

Wyobraźmy sobie człowieka, który mówi: „Nie mogę zmienić pracy, bo dzięki tej pracy płacę rachunki i kredyt, ale czuję, że ona mnie niszczy”. Co wtedy? Czy najlepszym wyjściem jest rzucić pracę i wyjechać w Bieszczady? Nie uważam, że trzeba podejmować radykalne kroki. Raczej warto zatrzymać się i zastanowić, co konkretnie mnie w tej pracy niszczy. Dobrze jest wypisać to sobie na kartce, a następnie rozróżnić: na co mam wpływ, a na co nie mam. Jeśli na coś mam wpływ, warto zapytać siebie, jaką drobną zmianę mogę wprowadzić już teraz. Druga ważna kwestia jest taka, że zmiany zaczynamy od siebie. Myślenie, że przełożony albo współpracownik się zmieni, to jest w dużej mierze myślenie życzeniowe. Nie mamy na to realnego wpływu. Możemy rozmawiać, możemy dawać informację zwrotną, ale najlepiej robić to, odnosząc się do własnych doświadczeń: do tego, jak ja się czuję w tej relacji i czego potrzebuję, a nie poprzez ocenianie drugiej osoby. Jeśli chcemy zmiany, zaczynamy od siebie i bierzemy odpowiedzialność za to, jak funkcjonujemy w pracy i w relacjach zawodowych.

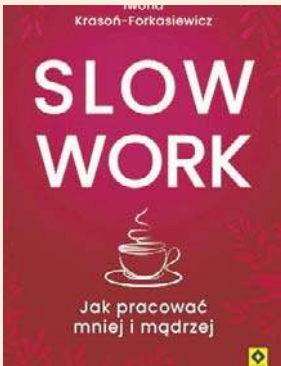
Na koniec chciałam panią zapytać: co dziś robi pani inaczej niż kilka lat temu? Co z pani kalendarza zniknęło? Jakich zasad w pracy pani sama pilnuje, żeby ten slow work naprawdę działał? Moje dni mają jasno określoną rutynę. Już w niedzielę wieczorem planuję i porządkuję najważniejsze sprawy na cały nadchodzący tydzień. Mam też wypracowane nawyki związane z aktywnością fizyczną i medytacją. Dzięki temu, wchodząc w tydzień pracy, wiem, co jest dla mnie kluczowe i mam jasno określone priorytety. Na koniec dnia robię krótkie podsumowanie: co się udało, co się nie udało, i co będzie najważniejsze następnego dnia. Kieruję się także trzema zasadami. Po pierwsze - zależy mi na tym, by ludzie w kontakcie ze mną czuli się szanowani; to jest dla mnie fundament. Po drugie - jasne priorytety, na których koncentruję się danego dnia i w danym tygodniu. Po trzecie - konsekwencja w realizacji tego, co zaplanowałam. Dodatkowo staram się unikać multitaskingu i nie robić kilku rzeczy jednocześnie. Wolę skupić się na jednym zadaniu i doprowadzić je do końca z pełną uważnością. A jeśli coś nie wyjdzie jednego czy drugiego dnia, nie krytykuję siebie - analizuję sytuację, wyciągam wnioski i wracam do ustalonych założeń. No i odpoczynek - nie możemy traktować go wyłącznie jako nagrody. Urlop i wolne dni są równie ważną częścią pracy i naszego dobrostanu.

CV



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Iwona Krasińska-Forkasiewicz
Psycholożka, certyfikowana coachka, doświadczona liderka w obszarze HR. W styczniu nakładem wydawnictwa RM ukazała się jej książka „Slow work. Jak pracować mniej i mądrzej”.



Skąd nazwa Cobi? Robert Podleś, pomysłodawca i twórca firmy, mówi, że odpowiadał na to pytanie wielokrotnie i...
za każdym razem odpowiedź jest inna.

– A prawda jest taka, że to nic nie znaczy – przyznaje z rozbrajającą szczerością

Andrzej Płes

JAK POLSKIE COBI NIE DAŁO SIĘ DUŃSKIEMU LEGO I ZAWOJOWAŁO ŚWIAT



Firma od połowy lat 90. ub. wieku działa w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu

Nazwa miała być krótka, łatwa do zapamiętania, miała brzmieć dobrze i mile dla ucha. – I taka jest. Wcześniej nazywaaliśmy się Ertrob, anagram imienia Robert – nazwa za trudna, zbyt twarda. Rok po zmianie nazwy okazało się, że maskotką olimpiady w Hiszpanii będzie stwór o imieniu Cobi, ale to my byliśmy pierwsi – zaznacza Robert Podleś.

Burzliwa droga od flipperów do klocków

Wujek prowadził warsztat samochodowy, specjalizował się w naprawie trabantów. Nawet w schyłkowym PRL władza na „prywatną inicjatywę” patrzyła kusem wzrokiem, ale niespełna dwudziestoletni Robert z początkiem lat 80. wymarzył sobie, że też będzie prowadził warsztat samochodowy, bo życiowej „małej stabilizacji” na etacie sobie nie wyobrażał.

Zaczął do wycieczek kolejowych: nocą wsiadał w Kutnie do pociągu, który z Budapesztu zmierzał do Warszawy, tu skupował od podróżnych to, co nabyli w relatywnie bogatej wówczas Hungarii, z niedostępnym w Polsce towarem pędził do budki na warszawskim bazarze, gdzie towar zostawiał, a po wszystkim – do szkoły, z lekkim zazwyczaj spóźnieniem. To wciąż było za mało, by skompletować kapitał na wymarzony warsztat samochodowy, więc ruszył „na saksy” do Szwecji. Za zarobione tu pieniądze kupił na miejscu swój pierwszy automat do gier zręcznościowych, ledwie za 5-10 proc. jego pierwotnej wartości. To był absolutny impuls, tego w planach nie było. Rozłożył mocno wysłużony i zdezelowany sprzęt, zapakował do równie mocno wysłużonego i zdezelowanego „malucha”, którym przyjechał, wrócił do Polski, tu reanimował, potem kupował kolejne, które też poddawał technicznemu zmartwychwstaniu. Skompletował takich tuzin – część pracowała dla niego w lokalach, reszta rabiła na siebie w barakowozie, który też kupił. Interes nie bez formalnych komplikacji.

– Wtedy, w 1982, nie można było prowadzić takiego biznesu jako przedsiębiorca – tłumaczy. – Można było mieć, ale nie prowadzić, więc zapisałem się do Stołecznej Estrady. W ten sposób w wieku lat 21 zostałem rejestrowanym artystą i agentem artystycznym i jako taki mogłem prowadzić salon gier zręcznościowych. Władza takiego biznesu szczególnie nie kochała, bo to prawie hazard, w dodatku brzydko pachnący wrażliwym imperialistycznym Las Vegas.

– Mimo wszystko to były dla mnie dobre czasy, bo jako agent Stołecznej Estrady płaciłem tylko 6 procent podatku, żadnego VAT, żadnej składki zdro-

wotnej i tym podobnych – mówi dziś Robert Podleś.

Kilka lat „żarło”, ale z końcem lat 80. obliczył, że – by zrobić z tego „small biznes” – naprawdę duży biznes – musiałby zarządzać setkami takich automatów do gier. W kraju, w którym nie było w sklepach niczego, produkcja – wydawało mu się – dawała nieograniczone możliwości. Zaczął drukować gry planszowe i puzzle. Sprzedaż takiego asortymentu była czystą rozkoszą: pakował gotowy produkt w ledwo ziępiącą nyskę „na pych”, bo rozrusznik nie działał, jechał na targi, „szło jak woda”. Sklepy też przyjmowały, ile mogły. Za to produkcja była koszmarem – już zdobycie kartonu było wyzwaniem. I z takim interesem wkroczył z ery gospodarki socjalistycznej w dziki kapitalizm. I to z przystępem, bo jego planszówka „Komandosi”, stworzona do spółki z kolegą z ławki szkolnej, zdobyła tytuł „Gry roku 1990” w plebiscycie organizowanym przez tygodnik „Razem” i młodzieżowy „Świat Młodych”. Pomogli Terminator (Schwarzenegger) w duecie z Rambo (Stallone) na pudełku, bo wręcz wpychali grę do rąk klientów. Dziś kolekcjonerzy płacą za nią na platformach sprzedażowych ponad 320 zł. „Komandosi” byli tematem pierwszej bodaj reklamy w Telewizji Polskiej. Ledwie trzy emisje, ale jak na tv, która dysponowała wtedy dwoma programami, to i tak był sukces.

Narodziny Cobi i próby eutanazji przez „gang Olsena”

Zaczynał osiadać w branży zabawkarskiej, wybrał się nawet na zabawkarskie targi do Hongkongu, i tam zobaczył dziecięcy raj: zabawki firm zachodnich z całego świata, bo dotychczas oglądał na ogół te enerdowskie. Nawiązał kontakty, wszedł w przedstawicielstwo firm zachodnich na kraje Europy Wschodniej, w końcu uznał, że czas iść na swoje. Do spółki z przyjacielem zarejestrowali firmę Cobi, od razu z myślą o produkcji klocków konstrukcyjnych, więc kupili nieco maszyn produkcyjnych. Produkowali „na Polskę”, trochę na wschód, na rynki zachodnie nie mieli jeszcze wstępu, ale i tak dostrzegł ich duński gigant tej branży.

– Zaczęło się nękanie, także pozwami o stosowanie nieuczciwej konkurencji, które trwało lat kilkanaście – wspomina pan Robert. – Żądali od nas nie tylko zaprzestania produkcji, ale zniszczenia stanów magazynowych, oprzyrządowania i maszyn. Siedzieliśmy po uszy w kredytach, bo stale byliśmy w procesie inwestycji, więc w konfrontacji z takim przeciwnikiem było się czego obawiać.

A już zaczęli się rozpychać na rynkach pozakrajowych, co



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Robert Podleś: Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń historycznych, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem czy bitwa pod Grunwaldem

tylko zwielokrotniło determinację duńskiej firmy. W efekcie z licznych procesów, jakie konkurent im wytoczył przed sądami w wielu krajach, przegrali tylko jeden: na Węgrzech.

- Pewnie dziełem przypadku jest, że w dniu, kiedy ogłoszono tam niekorzystny dla nas werdykt, węgierskie media podały triumfalnie, że duński producent klocków konstrukcyjnych zainwestuje w ich kraju miliony dolarów - wspomina Robert Podleś.

Za to z satysfakcją wspomina to, co stało się przed sądem szwedzkim. Dziewięciosobowy skład sędziowski poświęcił na rozpatrzenie tego sporu cały dzień, co już było ewenementem. Tego dnia na sali sądowej pojawiła się ok. 70-osobowa delegacja strony duńskiej firmy, w tym dwie dziesiątki adwokatów. Przeciwnicy dwoma samolotami, zainstalowali się na kilka dni w najlepszych hotelach Sztokholmu, tymczasem sąd uświadomił stronom, że ta przegrana będzie musiała zapłacić wygranej koszty udziału w procesie. Wystarczy, żeby przed prezesem Podlesem nogi ugięły się pod ciężarem finansowych skutków przegranej. A to był tylko kolejny kłopot w serii.

Pamięta inny proces, też wygrany, i w dodatku wiedzą techniczną. Sąd mocno zagłębił się w sprawy techniczne dotyczące także budowy klocków. - Z moim wykształceniem bez trudu byłem w stanie udowod-

- My mieliśmy problemy ze znalezieniem prawnika, ponieważ na dziesięć szwedzkich kancelarii prawnych nie mogło się podjąć reprezentowania nas, bo w wielu innych sprawach obsługiwała naszych przeciwników procesowych - tłumaczy. - W końcu trafiliśmy na prawnika, który przyjął naszą sprawę wręcz entuzjastycznie. Też się zdziwiliśmy, ale wyjaśnił, że nasz duński konkurent niegdyś zagroził wytoczeniu jemu i jego rodzinie sprawy sądowej z żądaniem, że mają zmienić nazwisko. A pan mecenas Lego udowodnił, że jego i jego przodków nazwisko pochodzi z czasów, kiedy duńskiej firmy jeszcze „nie było na świecie”. Chyba jakaś zdra w nim została, bo przyjmując naszą sprawę, ucieszył się, że będzie miał okazję raz jeszcze im „dołożyć”. I „dołożył”, bo wygraliśmy, choć z naszej strony na sali sądowej było nas włącznie z mecenasem Lego trzech, a po drugiej stronie około 70 osób. I wygraliśmy.

Pamięta inny proces, też wygrany, i w dodatku wiedzą techniczną. Sąd mocno zagłębił się w sprawy techniczne dotyczące także budowy klocków.

- Z moim wykształceniem bez trudu byłem w stanie udowod-

nić, że klocki konstrukcyjne muszą mieć odpowiednie parametry, budowę, przekroje, żeby spełniały swoją rolę, a twierdzenie, że można to robić inaczej, zostało w sądzie obalone. Prawnicy drugiej strony nie mieli pojęcia o zabawkach, konstrukcji klocków - ograniczali się do twierdzeń, że nasze to nieuczciwa konkurencja i podróbka. Druga strona na takie ujęcie problemu kompletnie nie była przygotowana.

I dodaje, że klocki konstrukcyjne wymyślił Brytyjczyk Hillary Page dla swojej firmy Kidcraft, opatentował je w 1947 roku na Anglię, Francję i Szwajcarię, ale nie na Danię, więc tujejsza, jeszcze mała firma zabawkarska skopiowała pomysł, opatentowała na Danię, uznając, że kwestia własności intelektualnej w branży zabawkarskiej nie jest traktowana przesadnie poważnie.

Kłosek po klocku budujemy historię i... inżynierów

Potężnym podmuchem w żagle firmy była „Small Army”: samoloty, czołgi, okręty, wozy bojowe, artyleria, wojskowe wozy transportowe, nawet okręty żaglowe, jak Victory. Duńska konkurencja unikała tematyki wojennej, ograniczając się co najwyżej do kopiowania futurystycznych środków transportu ze „Star Wars”. Dla sympatyków klocków konstrukcyjnych Small Army stała się prawdziwym rarytasem, pomysł podchwycili pasjonaci.

- Nasz slogan reklamowy mówi: „Buduj historię klockem po klocku” - przypomina Robert Podleś. - Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa

pod Stalingradem, D - Day, bitwa pod Grunwaldem i wiele innych historycznych wydarzeń. Nasze zestawy są w zasadzie dla trzech pokoleń: dla dzieci, ich rodziców i dziadków. Składając dany model, na przykład czołgu, dziecko zaczyna interesować się celem jego powstania, jego przeznaczeniem, okresem wykorzystania, wydarzeniem historycznym, w którym odegrał szczególnie istotną rolę, zaczyna szukać informacji, kontekstów dziejowych. To zupełnie inny i chyba bardziej efektywny sposób przyswajania wiedzy niż podczas, może czasem nudnej, lekcji historii w szkole.

Podkreśla, że propozycja firmy nie tylko buduje zainteresowanie historią, ale też „produkuje” przyszłych inżynierów.

- Wymusza aktywność wyobraźni, rozumienie trójwymiarowości, patrzenie na obiekt z perspektywy klocka, ale widzenie całości, na które pojedyncze klocki się składają, szukanie korelacji konstrukcyjnych pomiędzy nimi - analizuje. - To czasem niełatwe: nasz model czołgu Tiger to 11 tysięcy klocków. Tego nie da się złożyć w dzień, dwa - na to trzeba tygodnia, a niektórzy mówią, że dwóch.

Historyczny kontekst chwycił rynkowo. Wkrótce pojawiła się seria o kultowych samochodach, można rozszerzyć swoją kolekcję „wszystkiego, co lata” o modele statków powietrznych, produkowanych w PZL Mielec. Obiekty specjalne dla firmy, która swój dział konstrukcyjny, planistyczny, magazyny i dystrybucję i oczywiście całą produkcję osadziła w połowie lat dziewięćdziesiątych w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu.

- Byliśmy podażą dwunastą firmą, która zdecydowała się skorzystać z propozycji mieleckiej SSE - przypomina sobie założyciel firmy.

Dziś zabawkarsko-edukacyjna oferta mieleckiej firmy ma niezliczonych sympatyków, szczególnie aktywnych w Cobi Funs na Instagramie i Mecie, komentujących tematycznie podcasterów. Prezes Podleś podkreśla, że to niewyczerpalne źródło pomysłów, kreatywności, ale też najlepsza kontrola jakości.

- Szczególnie ci z zacięciem historycznym potrafią wyłapać w modelu mikrodetal, który być może nie zgadza się z oryginałem - wspomina. - A prezentujemy wersje przedprodukcyjne, czekając na ich uwagi, bo mamy jeszcze czas, aby je poprawić. I jesteśmy im za to wdzięczni. Jak i tym, którzy podpowiadają nam, jakich serii oczekują, jakich modeli, toczą między sobą dyskusję.

Nie mniej ważne dla planowania przyszłości i projektowania kolejnych serii jest umiejęt-

ność wyczuwania, podbudowana rozpoznaniem, „na co zanoszą się” w branży na Zachodzie.

Wciąż jest na trasie

Mimo dominacji w tej branży marek o rozpoznawalności globalnej, mielecka firma zdobywa kolejne przyczółki na świecie.

- Naszym największym odbiorcą są rynki amerykański i niemiecki, nie zawsze w tej kolejności - zastrzega Robert Podleś. - Mocno tkwimy na rynku norweskim, istniejemy na brytyjskim, francuskim, czeskim, wiele eksportujemy do państw azjatyckich, głównie do Chin, a i w Afryce można nas znaleźć. W sumie ponad 80 procent produkcji eksportujemy.

Był pomysł, aby część swojej produkcji zainstalować w USA, by mocniej wejść w tamten rynek. Zgasił nie tak dawno między innymi ze względu na polityczne kreowane perturbacje na amerykańskim rynku i niemal wszechmoc tamtejszych związków zawodowych - koszmarny każdego inwestora spoza USA. Prezes opowiada, jak to podczas uczestnictwa w targach za wielką wodą nie wolno im było na własnym stoisku wkręcić żarówkę, bo to praca zastrzeżona przez związki dla tamtejszych pracowników - 50 USD, bo „człowiekowi z zewnątrz” nie wolno wejść na drabinę w celach zawodowych. Przesyłanie palety wozkiem widłowym - 170 USD, jakby nikt z polskiej obsługi polskiego stoiska nie mógł tego zrobić. Biznes nie lubi przewlekłych w czasie procesów decyzyjnych, toteż firma właśnie zainwestowała w kolejne przestrzenie produkcyjne w mieleckiej strefie ekonomicznej.

Prezes Podleś przyznaje, że działa w chimerycznej, szarpiącej nerwy, bardzo zależnej od mody, ale jednocześnie ekscytującej branży.

- Mieliśmy kilka takich serii, które były bardzo popularne i nagle, jak ręką odjął, przestały się sprzedawać - wspomina. - Frustrujące jest, że musimy emitować krótkie serie, bo za interesowanie rynku daną serią szybko gaśnie - on oczekuje wciąż nowych i nowych.

Pytany, czy zdobywający już tyle wciąż czuje głód biznesowego sukcesu, sam pyta: co to jest sukces? Bo jeśli chodzi o rozwój i ekspansję firmy, to...

- Tak, wciąż jestem głodny, jeszcze nawet podwieczorka nie zjadłem - przyznaje. - Nie czuję zmęczenia. Bo wie pan, ja kiedyś biegałem w ultramaratonach, zmęczenie przychodzi dopiero w nocy, po wszystkim. Kiedy biegnie się 30 godzin, to nie czuje się zmęczenia, bo adrenalina napędza i w głowie kręci się motorek, że trzeba osiągnąć cel. A ja biznesowo cały czas jestem na trasie.



Ustawa nie zakazywała picia alkoholu, a jedynie jego produkcji, sprzedaży i dystrybucji. Na zdjęciu wylewanie przejętego trunku

FOTOC

cierpieli na depresję spowodowaną nadmiernym spożyciem alkoholu. Zmniejszyła się także liczba spraw rodzinnych, które miały związek z alkoholizmem w domu.

Picie nie jest karalne

Po okresie entuzjazmu okazało się, że prohibicja, nawet w puryteńskiej Ameryce, w praktyce coraz bardziej szwankuje. Władze często miały problemy z egzekwowaniem nowego prawa. O ile zakaz sprzedaży i dystrybucji alkoholu był popierany zazwyczaj na wsiach i w małych miastach, to zupełnie inaczej sytuacja wyglądała w większych metropoliach.

18. poprawka miała bowiem wiele niekonsekwencji. Np. sprzedaż, produkcja i transport alkoholu były nielegalne, 29 paragraf Ustawy Volsteada pozwalał na małe ustępstwa, np. na wytwarzanie w domu win, nalewek czy cydrów z owoców (wyrób piwa był zakazany). Można było wytwarzać do 200 galonów rocznie podobnych spirytualiów. Ponadto jedną z luk w ustawie było to, że faktycznie nie zabraniała ona spożywania alkoholu. Wiele osób zaczęło składować wina i mocniejsze alkohole już w drugiej połowie 1919 r., zanim w styczniu roku następnego sprzedaż alkoholu stała się nielegalna.

Co ważne: 18. poprawka nie zakazywała picia alkoholu, a jedynie jego produkcji, sprzedaży i dystrybucji. Amerykanin zatem nie mógł zostać ukarany za spożywanie napojów wysokowych. Stąd np. apteki mogły sprzedawać whisky jako lek „uniwersalny”, np. na ból głowy, ból mięśni lub przeziębienie. Dzięki specjalnej recepturze na whisky farmaceuta mógł sprzedać legalnie pół litra alkoholu raz na dziesięć dni.

Prawo a rzeczywistość

Nawet najszlachetniejsze zamierzenia prawne nie mają sensu, gdy społeczeństwo ich nie chce przestrzegać. Prohibicja przyniosła bowiem zbyt dużo nowych możliwości - nazwijmy je czarnorynkowych. Możliwości, z których, jak szybko się okazało, zaczęli korzystać głównie przestępcy i gangsterzy. To parados, że wyjęcie spod prawa handlu alkoholem doprowadziło do niespotykanego do tej pory rozwoju przestępczości.

Sięgamy do „Historii Stanów Zjednoczonych. 1607-2024” prof. Zbigniewa Lewickiego, z której wyłania się mroczny obraz początku lat 20. Weźmy charakterystyczny przykład niekonsekwencji ustawodawców: alkohol, zakazany w Stanach, nie był nielegalny w krajach sąsiadujących. Browary i gorzelnie natychmiast więc rozkwitły w Kanadzie, Meksyku i na Karaibach, ponieważ ich produkty były

spożywane przez masowo odwiedzających te kraje Amerykanów.

Znaczna część tej produkcji była nielegalnie przewożona do Stanów, szczególnie przez rzekę Detroit, która stanowi część granicy między USA a Kanadą. Sprzyjało to niekontrolowanej praktycznie fali przemytu kontrabandy. Chicago stało się rajem dla przemytników, a wielu z najbardziej znanych chicagowskich gangsterów, w tym Al Capone i jego biznesowy rywal George Moran, zarabiali miliony na nielegalnej sprzedaży alkoholu. Podobnie Frank Costello, Albert Anastasia czy Vito Genovese.

Statystyka podaje, że pod koniec dekady tylko Al Capone kontrolował wszystkie 10 tys. barów w Chicago i rządził całym biznesem alkoholowym od Kanady po Florydę. Wiele innych przestępstw w Chicago, w tym kradzieże i morderstwa, miało bezpośredni związek z działalnością przestępczą związaną z prohibicją.

Przemysł mówi: „dość”

Innym aspektem, którego nie brali pod uwagę Volstead, Wheeler i szlachetnie nastawieni kongresmeni był cios w amerykański przemysł i rolnictwo. Ustawa prohibicyjna nakazywała nie tylko zamykanie gorzelni i browarów, ale także niszczenie urządzeń do produkcji oraz palenie receptur. Tylko nieliczne, największe zakłady piwowarskie podjęły próbę przetrwania prohibicji, przedstawiając się w tym czasie na produkcję napojów bezalkoholowych.

Niewielkie, lokalne lub rodzinne gorzelnie i browary, produkujące likiery, nalewki, wódki, burbony, brandy, whisky i piwa upadły bezpowrotnie. Także wiele gospodarstw rolnych dostarczających im surowiec. Oblicza się, że zakaz legalnej sprzedaży alkoholu w latach 1919-1933 spowodował, że skarb państwa stracił z tytułu podatków 7 mld dolarów, wówczas była to kwota astronomiczna. Do walki z bimbrownictwem i przemysłem władze powołały 1520 agentów federalnych, co stanowiło kroplę w morzu potrzeb. Al Capone, który zarabiał 10 mln dolarów rocznie, mógł ich korumpować na nieskończenie wiele sposobów.

Nie brak głosów, że Franklin Delano Roosevelt, 32. prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1932-1945, doszedł do władzy dzięki masowemu poparciu przemysłowców z lobbym przetwórczym. Jego hasła z kampanii o „interwencjonizmie państwowym na rzecz społeczeństwa” wielu odczytywało wprost jako zapowiedź końca prohibicji. Ale Roosevelt, „Nowy Ład” i koniec „Szlachetnego Eksperymentu” to dopiero rok 1933 r., kiedy świadomość, że obrócił się on wni-

wiecz, stała się jasna dla stawa-
wiających prawo.

Prohibicja była dobra!

Trudno dziś znaleźć zdeklarowanego obrońcę 18. poprawki, co nie znaczy, że nie istnieją. Wejdźmy na stronę Salwowski.net i przyjrzyjmy się ich argumentacji. Autor tekstu z maja 2016 r. „Amerykańska prohibicja była skuteczna” dowodzi: „Po bliższym przyjrzeniu się jej skutkom, nie jawi się jako przykład zakazu, który skończył się całkowitym fiaskiem i porażką.

Po pierwsze bowiem: prohibicja funkcjonowała w wielu stanach bez większych problemów na długo przed wprowadzeniem jej na terenie całych USA (np. w Maine od 1852 r.).

Po drugie: w czasie obowiązywania prohibicji spadła ilość przyjęć w szpitalach spowodowanych nadużyciem alkoholu, a także liczba zgonów związanych z praktykowaniem pijactwa (patrz: Iwona Niewiadomska, Marta Sikorska-Głodowicz, »Alkohol. Uzależnienia. Fakty i mity«, Lublin 2004, s. 37).

Po trzecie: poziom spożycia alkoholu wyraźnie zmalał w czasie obowiązywania prohibicji i do stanu sprzed jej wprowadzenia wrócił dopiero w 1960 r., a więc prawie 30 lat po jej zniesieniu.

Po czwarte: niewykluczone, iż w perspektywie długofalowej prohibicja przyczyniła się do większej kultury picia wśród Amerykanów. W USA wszak bardzo ściśle jest przestrzegany zakaz sprzedaży alkoholu osobom poniżej 21. roku życia, jest tam też więcej abstynentów niż w winnych krajach, zaś pijaków jest mniej niż w Polsce, Wielkiej Brytanii czy Irlandii (nie wspominając już o Rosji czy Finlandii). ”

Koniec złudzeń

W 1932 r., dzięki coraz gorszym nastrojom społecznym i ogromnym poparciom dla ruchu antyprohibicyjnego Rooseveltowi udało się wygrać z Herbertem Hooverem, i to z bardzo dużą przewagą. W 1933 r. Kongres przyjął 21. poprawkę do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która uchylała „ustawę Volsteada”.

Do jej ratyfikacji doszło 5 grudnia tego samego roku. Stan Utah przeważnie szale, stając się 36. stanem, który był potrzebny do uzyskania potrzebnej większości. Prezydent Roosevelt, podpisując nowe prawo, wypowiedział słynne zdanie: „Myślę, że to dobra pora na piwo”. Niektórzy twierdzą, że swój sukces uczcił, pijąc swój ulubiony koktajl „dirty Martini”.

Ale w niektórych stanach prohibicja obowiązywała dalej, a stan Missisipi wycofał się z powszechnego zakazu sprzedaży alkoholu dopiero w 1966 r. Późno? Kansas nie pozwalało na sprzedaż alkoholu do spożycia na miejscu (np. na kieliszki) aż do 1987 r.

PROHIBICJA PO AMERYKAŃSKU. CZY MOŻNA USZCZĘŚLIWIAĆ LUDZI NA SIŁĘ?

17 stycznia 1920 r. na terenie Stanów Zjednoczonych wprowadzono uchwalony rok wcześniej „Szlachetny Eksperyment”, czyli prohibicję

Mariusz Grabowski

Prohibicję wprowadzono na mocy 18. poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Jej pierwszy paragraf brzmiał: „Poczynając od roku po przyjęciu niniejszego artykułu, niniejszym zabrania się wytwarzania, sprzedaży i przewozu przeznaczonych do spożycia napojów wysokowych, jak również ich importu do i eksportu ze Stanów Zjednoczonych oraz jakiegokolwiek obszaru podległego ich władzy”.

„Dobroczynne skutki”

Okres „Szlachetnego Eksperymentu” trwał w USA 13 lat.

Jego zwolennicy uważali, że zakaz wprowadzi ład społeczny i równość szans dla kobiet, osób mieszkających na obszarach wiejskich i Afroamerykanów. Efekt był jednak wręcz odwrotny, a dokładnie prześledzenie historii prohibicji pokazuje, że dobre chęci nie zawsze przynoszą dobre skutki.

Chociaż początkowo prohibicja była popierana przez różne grupy społeczne i polityczne. Autor ustawy - kongresmen Andrew Volstead, republikanin z Minnesoty - mówił wręcz o „dobroczynnych skutkach dla Amerykanów”, a jeden z jej pomysłodawców - senator Morris Sheppard, demo-

krata z Teksasu - dobruśnie żartował, że jest tyle szans na uchylenie 18. poprawki, jakie są szanse na to, że koliber doleci na Marsa z przywiązanym do ogona pomnikiem Washingtona”. Z kolei Wayne Wheeler z wpływowej protestanckiej Ligi Antysaloonowej (to jemu przypisuje się sam pomysł poprawki) głosił, że „Bóg wreszcie się uśmiechnął”.

Według oficjalnych statystyk, w latach 1920-1921 rzadziej aresztowano ludzi za wykroczenia po alkoholu, a sama konsumpcja spadła nawet o 50 procent. Szpitale psychiatryczne przyjmowały aż o 60 proc. mniej pacjentów, którzy

Reporterskie podróże Jacka Pałkiewicza

WYPRAWA W DUCHU JACKA LONDONA

Jedną z największych przygód mojego życia przeżyłem 37 lat w Jakucji, kierując wyprawą na biegun zimna, gdzie niegdyś zanotowano najniższą temperaturę (-71,2°C). Pokonanie problemów biurokratycznych i uzyskanie zgody do samodzielnego poruszania się po terytorium ZSSR w ostatnich dniach jego egzystencji, wymagało nie lada zachodu. Przedsięwzięcie było niezwykle trudne na etapie organizacyjnym, a potem, z każdym dniem, było już tylko trudniej i trudniej. Znaleźliśmy reniferów, uszyliśmy odzież, jaką noszą w tundrze autochtoni, zakupiliśmy mapy topograficzne, nawiązaliśmy współpracę naukową, oraz dziesiątki innych spraw związanych z przygotowaniem pionierskiej wyprawy, to wszystko pochłonęło ponad rok czasu. Ziemia tragiczna i tajemnicza, na której niepodzielnie króluje ekstremalny klimat, surowa przyroda, piętno Archipelagu Gułag, ale także i przestrzeń, malownicza tajga i wolność dziewiczej ziemi, tajgi i tundry w objęciach polarnego zimy, gdzie łatwiej jest spotkać wilka niż istotę ludzką.

Jacek Pałkiewicz,
dziennikarz, utytułowany
podróżnik i odkrywca.
www.palkiewicz.com



Uroczysty start w Jakucku



Jakuck-Ojmiakon w 30 dni w surowym środowisku



Krótką przerwą w podróży



Otwarcie szlaku w głębokim śniegu



Poranny zbiór renów



Na mecie pionierskiej wyprawy

Media nazywają Cię aktorskim kameleonem, bo w każdym filmie odślaniasz inną twarz. Zgadzasz się z tym określeniem? Trudno samemu o sobie mówić. To na pewno bardzo miłe. Jeśli tak jest naprawdę, to tylko mogę się cieszyć. Ja po prostu lubię swoją robotę i staram się ją wykonywać jak najlepiej, żeby się potem nie wstydić.

Teraz oglądamy Cię w filmie „Dziki” o polskim Tarzanie. Takiego bohatera jeszcze nie było w naszym kinie. Dlatego zgodziłeś się go zagrać? Nie rozpatruję tego w takich kategoriach. To była przede wszystkim świetna postać do zagrania i fantastyczne zadanie aktorskie. Do tego niezwykła przygoda, którą można było przeżyć, choćby przez samo obcowanie z dziką naturą w górach. Generalnie lubię trudne wyzwania. Łatwo mnie zachęcić do pracy, kiedy ktoś przychodzi i mówi: „Stary, będzie skrajnie niewygodnie i ciężko”. Wtedy z automatu zaczyna mi się chcieć bardziej. (śmiej)

Twórcą filmu jest Maciej Kawulski, z którym pracowałeś przy wszystkich jego wcześniejszych produkcjach. Łączy was wyjątkowe porozumienie? Myślę, że tak. Wypracowaliśmy je przez ten cały okres naszej współpracy. Mam 35 lat, a znam go już 10 lat. Z mojej perspektywy to szmat czasu i dużo to dla mnie znaczy. Zawsze z przyjemnością z nim pracuję.

Maciej dał Ci dużo przestrzeni na własne pomysły przy wykreowaniu postaci Dzikiego? Zawsze tak się dzieje, kiedy razem pracujemy. Ale to nie jest tak, że Maciek daje pełną wolność i w ogóle nie ingeruje. Zawsze jest świetnie przygotowany i dokładnie wie, czego chce. Dlatego w momentach, w których czułem jakąś niemoc w zetknięciu z materiałem czy warunkami atmosferycznymi, które często dawały się nam we znaki, zawsze przychodził z pomocą, aby mnie podprzeć. Ale jeśli pytasz o wolność twórczą, to dostaję ją od Macka za każdym razem.

Dziki to postać, która wymagała od Ciebie wyjątkowego przygotowania fizycznego, pewnie jeszcze bardziej niż „Kulej”. Jak sobie z tym poradzisz? To było zupełnie inne przygotowanie. W przypadku „Kuleja” zajęcia na siłowni musiały się połączyć z opanowaniem umiejętności bokserskich i zbudowaniem kondycji. Tutaj w dużej mierze skoncentrowaliśmy się na rzeźbieniu sylwetki i przygotowaniu ciała na gorsze warunki pogodowe. Maciek zakupił mi dużą zamrażarkę na mięso, wstawił na balkon i kazał w niej... morsować. (śmiej) Na tym polegała

główna trudność przygotowania fizycznego do tej roli.

Kiedyś powiedziałeś w jednym z wywiadów: „Lubię konkurować ze sobą i swoimi słabościami”. Tak było i na tym planie? Przede wszystkim. Pewnie można to stwierdzenie podpiąć pod wszystko, ale w tym przypadku, gdzie poza jedną sekwencją cały czas biegam w samych spodniach, przepasany skórzanym pasem, to była regularna walka ze słabościami. Ale bardzo satysfakcjonująca. Takie boksowanie się z samym sobą daje mi dużą radość, dlatego bardzo lubię ten element pracy na planie.

Twój bohater jest uznawany za niemowę i nie odzywa się prawie przez cały film. Jaki miało to wpływ na Twoją grę? Początkowo miałem taki plan, aby nie odzywać się w ogóle do nikogo na czas realizacji tego filmu i przejść w kompletnej ciszy przez ten plan, ale dość szybko zrozumiałem, że byłoby w tym coś narcystycznego i utrudniającego pracę innym, czego w tak trudnych warunkach przyrody nikt by nie potrzebował. I tak co rusz dostawaliśmy kolejną lekcję pokory ze strony natury. Dlatego zrezygnowałem z tego pomysłu niemal zaraz po tym, jak na niego wpadłem. Szybko okazało się, że to milczenie, które musiałem zachować w poszczególnych scenach, to bardzo trudne zadanie. Początkowo myślałem, że będzie fajnie, ponieważ nie trzeba się specjalnie przygotowywać tekstowo, ale okazało się, że mowa pomaga nam w wyrażaniu siebie. Dlatego mocno odczuwałem te ograniczenia. Martwiłem się, że sceny pozbawiane dialogu są nudne i nie sprawdzą się. Że za mocno na pewne rzeczy reaguję, nie mogąc wyrazić emocji za pomocą słów, bo zazwyczaj do tej pory je werbalizowałem. To było naprawdę trudne zadanie.

Dziki jest trochę człowiekiem, trochę zwierzęciem. Żeby zagrać taką postać, musiałeś dokopać się w sobie do tej dzikości? To już muszą ocenić widzowie. Mnie to trudno stwierdzić. W mojej głowie miałem dojść do wielu wniosków, ale czy one okazały się skuteczne? Na pewno próbowałem i bardzo mi zależało na tym, żeby ten bohater, na tym etapie, w którym ja się w niego wcielałem, kiedy jest już najbardziej uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania nabyte z obcowania z naturą. Kiedy szukałem pomysłów na reakcje Dzikiego w niektórych scenach, odrzucaliśmy te, które uznawaaliśmy za nazbyt ludzkie i ucywilizowane i jakby z automatu wybieraliśmy te, które były dla nich opozycją. W tym celu oglą-

TOMASZ WŁOSOK: KIEDY ODKRYŁEM AKTORSTWO, ODNALAZŁEM SENS ŻYCIA

Nie tak dawno zbierał pochwały za główne role w filmach „Kulej. Dwie strony medalu” czy „Piosenki o miłości”. Teraz można go oglądać w kinach jako polskiego Tarzana w przygodowej produkcji „Dziki”. Nam Tomasz Włosok opowiada, jak poradził sobie z zagranieniem bohatera, który prawie w ogóle nie mówi

Patryk Gzyl

daliśmy filmy przyrodnicze, podpatrując w nich, jak zachowują się w różnych sytuacjach zwierzęta. W ten sposób staraliśmy się znaleźć tę dzikość w tym moim obytym już nieco z ludźmi bohaterze.

Krećcie się w górach w Polsce i na Słowacji. Obyło się bez przygód na planie? Każdego dnia mieliśmy jakieś starcia z naturą. Są w filmie sceny, które rozgrywają się w gęstej mgłę. Tymczasem plan na nie był taki, że mieliśmy kręcić w pełnym słońcu. Znaleźliśmy bowiem piękną osadę drewnianych domków na szczycie góry, które tworzyły niesamowity klimat. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Kiedy przyjechalśmy ze sprzętem na miejsce, to, co wydawało się poranną mgłą, okazało się wielką chmurą, która zalegała tam przez trzy dni. No i trzeba było sobie poradzić z tymi warunkami atmosferycznymi. To oczywiście stworzyło inną jakość, coś, co działa w tej scenie, ale była to dla nas duża lekcja pokory ze strony natury. Zresztą dostawaliśmy ją codziennie: film opo-

wiada przecież o górach, a te wymagają od człowieka wielkiego szacunku.

Kiedy byłeś mały, pewnie biegałeś po lesie z patykami i walczyłeś z wymyślonymi potworami. Zagranie w takim filmie jak „Dziki” było dla Ciebie powrotem do dziecięcych fantazji i emocji? Oczywiście. Ja kocham takie kino. Nazywamy je z moim przyjacielem „rycerskim”. Bo jest tam tragiczny bohater, walka o honor i braterstwo, zmaganie się ze swoimi słabościami. Ja się też wychowałem na takich filmach i do dzisiaj je kocham. Marzy mi się robienie takiego kina, a w Polsce nie tworzy się go zbyt często. Dlatego „Dziki” był dla mnie wyjątkową okazją do spełnienia takiego marzenia. Czułem się więc zaszczycony, mogąc brać udział w tym przedsięwzięciu.

Jesteś z pokolenia wychowanego na „Władcy Pierścieni” i „Harrym Potterze”. Sporo czasu spędzałeś też pewnie, grając w gry komputerowe. To te rozbudzające wyobraźnię hi-

storie sprawiły, że zamarzyło Ci się aktorstwo? Bardzo lubię do dzisiaj to medium, jakim są fabularne gry, bo to superuzupełnienie dla kina. Ostatnio wiele z nich jest inspiracją do powstawania filmów czy seriali - choćby „The Last Of Us”. To gry mocno nastawione na opowiadaną historię, mające szansę podejmowania różnorodnej tematyki. Kiedy ja zaczynałem swoją przygodę z grami komputerowymi, były one jeszcze dosyć skromne. Nie była to więc jakaś inspiracja do tego, aby zostać aktorem. Ale ja ciągle wierzę w takie wymyślone światy. Dlatego nigdy nie chciałbym zapomnieć o tym przysłowiowym patyku, z którym ganiałem po lesie.

Początkowo planowałeś zostać dziennikarzem telewizyjnym. Aktorstwo miało Ci w tym pomóc? To koleżanka z roku zachęciła mnie do wzięcia udziału w kursie aktorstwa. Pomyślałem, że to dobry pomysł, bo nie wiem czemu, ale kiedy stawałem przed kamerą, bardzo mnie to paraliżowało i traciłem zmysł klarownego przekazywania informacji. Stwierdziłem więc, że taki kurs może mi w tym pomóc. Wziąłem w nim udział i spodobało mi się, że aktorstwo daje poczucie mniejszej odpowiedzialności za to, co się mówi, bo aktor ukrywa się za tekstem kogoś, kto jest mądrzejszy od ciebie i można mó-

wić o ważnych rzeczach, nie biorąc do końca odpowiedzialności za wypowiedzane słowa.

Aktorską wiedzę zdobywałeś w Krakowie: najpierw w L’art. Studio, a potem w Akademii Teatralnej. Jak Ci było pod Wawelem? To bez wątpienia jeden z cudo-owniejszych etapów mojego życia. Mieszało się wtedy we mnie wiele emocji, dojrzałość z niedojrzałością. To był ciekawy czas.

Więcej czasu imprezowałeś czy spędzałeś na uczelni? Szkoła aktorska ma taki program, że spędza się na uczelni cały dzień od rana do nocy przez prawie cały tydzień. Przychodziliśmy na zajęcia na ósmą, a kończyliśmy o dwudziestej drugiej, a czasami nawet później. Dlatego cały dzień mijał nam w dużej mierze na nauce. Ale żebym jakoś stronił od imprez i skupiał się tylko na szkole - to nie powiem. (śmiej) Zakosztowałem więc Krakowa tak jak się go powinno zakosztować.

Jakiś czas później wyznałeś: „Kiedy odkryłem aktorstwo, świat nabrał kolorów”. Co to oznacza? Pod koniec liceum nie miałem większych planów na swoją przyszłość. Moje życie do matury i jeszcze chwilę później polegało na zwykłym odbębnianiu rzeczy i spraw. Nie miałem

*MARTWIŁEM SIĘ, ŻE SCENY
POZBAWIANE DIALOGU SĄ NUDNE
I NIE SPRAWDZĄ SIĘ. TO BYŁO
NAPRAWDĘ TRUDNE ZADANIE*



FOT. KAMIL KULAGOWSKI/MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz Włosok: Na tym etapie, w którym ja się wcielałem w Dzikiego, kiedy jest już uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania

sprecyzowanych zainteresowań i żadnych perspektyw na ciekawą przyszłość. Kiedy odkryłem aktorstwo, odnalazłem sens życia i zacząłem z niego dużo więcej czerpać. Tak było oczywiście na tamtym etapie. Teraz moje priorytety się pozmieniały i czerpię z życia jeszcze więcej. Ale wtedy było to bardzo ważne, bo odnalazłem jego sens.

Od razu po studiach zwróciłeś się w stronę filmu. Teatr Cię nie pociąga?

To było trochę inaczej. Zaraz po szkole pojechałem do Częstochowy i zrobiłem tam spektakl. Równolegle grałem już w serialu „Pierwsza miłość”. Kiedy byłem na próbach w Częstochowie, okazało się, że zagram w „Powidokach” Andrzeja Wajdy. Za chwilę pojawił się Maciek Pieprzycza z „Jestem mordercą”. I w naturalny sposób zwróciłem się w stronę filmów i seriali. Nie było to jakoś wymyślone przeze mnie, bo ja

raczej staram się nie kalkulować, tylko daję się ponieść życiu. Los mnie tak popchnął, ale oczywiście po drodze musiałem podjąć jedną czy drugą decyzję. I jedną z nich była rezygnacja z potencjalnego etatu w Częstochowie. Dziś mniej może rozumiem świat teatru, bo po prostu mniej do niego należę. Brakuje mi jednak trochę tej ekscytacji związanej z wyjściem na scenę, ale nie ma co cierpieć w życiu na nadmiar.

Po raz pierwszy zwrócono na Ciebie uwagę w „Kruku”, gdzie zagrałeś wyrazisty „czarny charakter”. To była dobra rozgrzewka na początek kariery?

Kocham tę serial i tę postać. Uwielbiam pracować z Maciem Pieprzyczą. To nie jest żadna tajemnica. Bardzo dobrze wspominam tę produkcję, za którą odpowiadała firma Opus Films. Pracują tam wspaniali ludzie. To był plan marzeń.

Kiedy dostałem informację, że jest bardzo znacząca rola w „Kruku”, którą mógłbym zagrać, zadzwoniłem do Maćka, żeby dał mi jakieś wskazówki, co mogę na ten casting przygotować. Pozwoliłem sobie na to, bo pracowaliśmy już wcześniej razem. A on mówi: „Ty już to dostałeś. Nie musisz nic przygotowywać”. (Śmiech) To było wspaniałe - pierwsza rola, którą dostałem w przeszłości jako wyraz pewnego kredytu zaufania wobec mnie ze strony reżysera. Nie sądziłem, że to wyewoluuje w serial, który doczekał się aż trzech sezonów. Dlatego jestem do dziś za to Maćkowi bardzo wdzięczny.

Głośno stało się o Tobie, kiedy dostałeś nagrodę w Gdyni za „Jak zostałem gangsterem”. Świat polskich dresiarzy na pewno był ci obcy. Co sprawiło, że tak sugestywnie wcieliłeś się w Waldena?

Czy obcy? Cóż, przyjrzałem się w życiu różnym sytuacjom

i ludziom. (Śmiech) Widziałem kilkakrotnie ten typ osobowości, jaki reprezentował Walden. Kiedy kręcę film i wcielam się w jakąś postać, podłapuję jej cechy od różnych osób, które poznałem w prawdziwym świecie. W ten sposób buduję swego bohatera i potem, choć nigdy nie miałem styczności ze światem przestępczym, ktoś, kto się z niego wywodzi, widząc moją pracę na ekranie, mówi: „No patrz, ten Walden jest dokładnie taki sam jak ten czy ten”. Już scenariusz „Jak zostałem gangsterem” podpowiadał mi, że będę miał do czynienia z budowaniem osobowości kogoś, kto potrzebując ojcowskiej uwagi, dostanie ją od człowieka, który jest bandziorem, i to sprawi, że trafi do przestępczego świata. Kilka razy w życiu zobaczyłem, jak działa podobny mechanizm, dodałem do tego predyspozycje do szaleństwa, jakie miał w sobie Walden, i udało się stworzyć wyrazistą postać.

Na przeciwnym biegunie do Waldena jest Robert z „Piosenek o miłości”. Zagranie takiego skupionego i wyciszonego chłopaka było trudniejsze?

Trudno to określić. To było zupełnie inne zadanie. Mam ogromne szczęście do ludzi, których spotykam na swej zawodowej drodze. Szczególnie do reżyserów, którzy nigdy nie zostawili mnie samego z moją pracą. Mając zabezpieczenie w postaci tego koła ratunkowego, czuję zawsze, iż to, co robię, ma głęboki sens. I tyle. Nigdy nie zastanawiam się nad tym, co to robi dla mnie, budując tę czy inną postać, bo mam wrażenie, że mogłoby mi to zabrać kreatywność. Jest tu i teraz i na tym się skupiam. Oczywiście postać Roberta z „Piosenek o miłości” jest zdecydowanie cichsza i mniej ekspresyjna, opiera się więc na innych nutach i na innej psychologii - na toksycznej relacji z ojcem, życiu w jego cieniu, pozostawieniu samemu sobie. Wszystko to sprawia, że ten bohater jest taki jest. Reżyser Tomek Chabowski bardzo precyzyjnie określał, czego ode mnie oczekuje, i dawał mi bardzo konkretne wskazówki, o czym chce opowiedzieć w każdej scenie. Ja musiałem się tylko w nie wsłuchać i pokazać to przed kamerą.

Świetnie odnalazłeś się też w komedii, czyli w serialu „Emigracja XD”. To dlatego, że Malcolm jest do Ciebie podobny i zagrałeś trochę siebie z młodości - chłopaka, którego trudno oderwać od komputera?

Tak. Faktycznie, spośród wszystkich postaci, które zagrałem, do Malcolm'a mi najbliższe. (Śmiech)

Spodobało Ci się granie w komedii?

Na pewno dobrze bawiłem się na planie. Ale też najmocniej miałem ciarki na placach, bo zastanawiałem się, czy to będzie śmieszne dla kogoś, kto zaraz będzie ten serial oglądał.

Najważniejszym Twoim film do tej pory jest na pewno „Kulej. Dwie strony medalu”. Zagranie autentycznej postaci to wyższa szkoła jazdy dla aktora?

Budowanie roli legendy polskiego pięściarstwa na pewno było naznaczone ponadprzeciętną presją. Ale dotarło to do mnie na szczęście dopiero wtedy, kiedy skończyliśmy ten film. (Śmiech) Byłem więc już bezpieczny. Ale faktycznie, to było moje najtrudniejsze zadanie do wykonania. Tym bardziej że marzyłem, aby dostać tę rolę. Postać Jerzego Kuleja była mi dobrze znana, bo interesuję się boksem i sportami walki od dzieciństwa. Do dziś uprawiam je - przede wszystkim, aby wyciszyć głowę. Daje mi to duże ukojenie, stąd jest to dla mnie bardzo ważne. I z tego względu zrealizowanie tego filmu było dla mnie spełnieniem marzeń. Ale dlatego też, że miałem okazję współpracować z Xaverym Żuławskim. To właśnie do niego przyszedłem na pierwszy casting w swoim życiu, na którym otrzymałem od reżysera szczerze wskazówki, co o mnie myśli. Powiedział mi, co zadziałało, a co nie zadziałało. Naturalnie nie dostałem wtedy tej roli. Ale to spotkanie było dla mnie ważne, bo zbudowało w dużym stopniu moją optykę na ten zawód i tę branżę. Marzyłem więc, żeby się z nim ponownie spotkać. I było na co czekać, bo okazało się, że Xavery cudownie prowadzi aktorów. Jest wspaniałym człowiekiem.

„Kulej” pokazuje, że masz też szczęście do partnerek na ekranie. Stworzyliście z Michaliną Olszańską tym filmie prawdziwą „power couple”.

To prawda. Bardzo się z Michaliną polubiliśmy. Ona jest cudowną osobą i to był ogromny zaszczyt móc z nią przez ten film przetańczyć. (Śmiech)

Z kolei w „Zielonej granicy” zagrałeś ze swoją partnerką, również aktorką Malwiną Buss. Jakie to było doświadczenie? Niezmiennie inspirujące. (Śmiech) Bardzo lubimy z Malwiną ze sobą pracować i chcielibyśmy robić to częściej. Moja partnerka jest wspaniałą aktorką, dobrze się znamy, wiemy zatem, czego od siebie oczekiwania i pomagać. I to po prostu w „Zielonej granicy” zadziałało. Bo to zawsze działa.

Dobrze mieć za życiową partnerkę osobę, która uprawia ten sam zawód, co my?

Myszę, że tak. Oczywiście początkowo myślałem o tym różnie, ale teraz skłaniam się ku stwierdzeniu, że człowiekowi spoza branży trudno jest zrozumieć specyfikę pracy aktora. Wiele związanych z nią elementów może się wydawać trudnych do zaakceptowania. Dlatego największą wyrozumiałością dla aktora może się wykazać ktoś, kto też uprawia ten zawód. Ale tu chodzi również o to, aby być ze sobą szczerym i jasno wyznaczać to, że aktorstwo jest tylko pracą i niczym więcej.

Udaje się Wam rozdzielać życie prywatne od zawodowego?

To pewnie zweryfikujemy za jakieś dziesięć lat. (Śmiech) Teraz wydaje się nam, że jest spoko. Jak to w życiu bywa, raz są łatwiejsze, a raz trudniejsze momenty. Ale generalnie chyba całkiem mądrze sobie to układamy. Ja mam tylko większy problem z planowaniem rzeczy, w związku z czym wielokrotnie o czymś zapominam lub się spóźniam. Malwina wiecznie się mierzy z moim improwizowaniem, bo nie jestem w stanie dokładnie zaplanować swojego życia. Dlatego to ona jest głową naszej rodziny.

Nie ma między wami ambicio-nalnych konfliktów wynikających z zazdrości o sukcesy?

Myszę, że coś takiego występuje nawet w związkach, które tworzą ludzie niezwiązani z tą samą branżą. Dlatego zdarzało się to i u nas, ale nigdy nie miało większego wpływu na naszą relację.

Miałeś taki moment, kiedy sukces i popularność uderzyły Ci do głowy?

To chyba nie pytanie do mnie. Jeżeli z zewnątrz tak to wygląda, to mi to powiedz, wtedy się zmienię. A jeżeli tego nie wiadać, to bardzo mi miło. Generalnie nie chciałbym, żeby mi odbiła ta przysłowiowa palma i mam nadzieję, że nigdy tak nie było. Moja druga połówka pilnuje mnie i kiedy wykazuje takie tendencje, to sprawdza mnie od razu na ziemię. Mam mądrych ludzi wokół siebie i to chyba mój najcenniejszy dar od losu.

Masz też pięcioletnią córeczkę Jagodę. Na pewno przez ten czas, od kiedy zostałeś ojcem, dojrzałeś emocjonalnie. Miał to jakiś wpływ na Twoje aktorstwo?

Od momentu, kiedy zacząłem realnie odpowiadać za drugiego człowieka, coś zmieniło się chemicznie w mojej głowie. Czy to jest dojrzałość? Chyba daleko mi jeszcze do niej. Po prostu czuję, że inaczej odbieram rzeczywistość. Zmieniała się moja perspektywa patrzenia na życie i świat: jest ten mały człowiek i dopiero potem cała reszta.

HISTORIA/POLITYKA

Nie tylko Rosenbergowie. KGB w Stanach Zjednoczonych

Tę historię można zacząć tak: w 1994 r. były oficer wywiadu KGB Aleksandr Wasiliew zyskał dostęp do ściśle tajnych dokumentów sowieckich operacji wywiadowczych prowadzonych przeciwko Stanom Zjednoczonym w latach 30. 40. XX w. Obszerne materiały udało mu się przepisać lub streścić, zanim krótkotrwała odwilż w stosunkach Rosji z Zachodem skończyła się bezpowrotnie, a on sam uciekł do Wielkiej Brytanii.

Hemingway też?

Po kilkunastu latach Wasiliew odzyskał pozostawione w Moskwie zapiski, a współpracujący z nim amerykańscy historycy John Earl Haynes i Harvey Klehr skonstruowali na ich podstawie ważną historyczną opowieść. Nosi tytuł „Wzloty i upadki KGB w Stanach Zjednoczonych”, liczy ponad 700 stron i wydał ją właśnie Instytut Pamięci Narodowej.

Autorzy udowadniają w niej np., że wywiadowi sowieckiemu nigdy nie udało się zwerbować Roberta Oppenheimera, fizyka i ojca broni atomowej, a z kolei I.F. Stone, legenda lewicowego amerykańskiego dziennikarstwa, pracował w latach 30. jako szpieg dla ZSRR. Pełnił rolę typownika i kuriera przekazującego informacje innym agentom sowieckiego wywiadu, a także prywatnych dziennikarskich ciekawostek i innych danych, które KGB uznawał za interesujące.

Grupa amerykańskich żurnalistów, którzy mieli kontakty z Sowietami, jest wyjątkowo długa. Prócz Stone’a także Robert Allen, Ludwig Lore, John Spivak i Bernard Redmont. Wśród nich także Ernest Hemingway, nazywany przez autorów „szpiegiem-dyletantem”. Niejaki Jacob Golos, łącznik partii komunistycznej z ekspozyturą KGB meldował do Moskwy w 1941 r.: „Kilka dni temu dowiedziałem się, że Ernest Hemingway wybiera się do Chin przez Związek Sowiecki. Możliwe, że wystąpi do władz ZSRS o wizę wjazdową (...) Musimy podjąć próbę nawiązania kontaktu w Chinach lub ZSRS i skorzystać z wcześniejszego uzgodnionego hasła. Jestem pewien, że będzie współpracował i zrobi wszystko, co w jego mocy”.

Miłość do Stalina

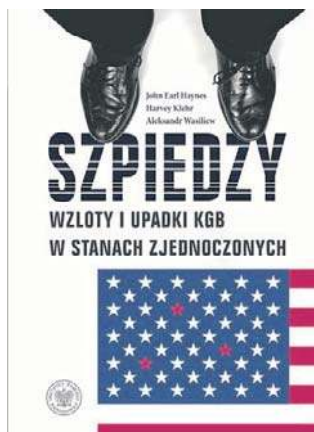
Dla czytelnika „Szpiegów” może być zaskakujące to, jak wielu Amerykanów wspierało sowieckie służby wywiadowcze. Infiltracja KGB w USA objęła nawet kierownicze stanowiska w rządzie federalnym i ówczesnej amerykańskiej agencji wywiadowczej OSS.

W szpiegostwo zaangażowały się postacie z pierwszych stron gazet (amerykańscy politycy, naukowcy, dziennikarze, celebryci) oraz zwykli obywatele. Kierowali się różnorakimi pobudkami (finansowymi, ideologicznymi, osobistymi), a łączyło ich to, że działali na rzecz obcego mocarstwa. I lubili tow. Stalina.

Przykładem William Dodd, ambasador amerykański w niemieckich Niemczech i jego córka Martha. Zwerbowana Amerykanka wręcz wybierała sobie kochanków z podstawionych jej sowieckich szpiegów, a za jednego z nich – Borysa Winogradowa – chciała wyjść za mąż. W listopadzie 1937 r. para spotkała się w Warszawie. Winogradow donosił do Moskwy: „Obecnie zgadza się na współpracę, nawet jeśli się okaże, że do naszego ślubu nie dojdzie”.

I nie doszło. Winogradow, a także Dmitrij Bucharcew (następca Winogradowa w łóżku Marthy Dodd) zostali bowiem niedługo potem rozstrzelani w Moskwie.

Lucjan Strzyga



J.E. Haynes, H. Klehr, A. Wasiliew, „Szpiegowie. Wzloty i upadki KGB w Stanach Zjednoczonych”, IPN, Warszawa 2025, cena 70 zł

HISTORIA/MEDYCyna

„Pod Demiańskim nie było miejsca na miłosierdzie...”

Przeciwnikami groźniejszymi od Rosjan – wspomina Hans Killian – okazywały się mróz i błoto. Bezradni, pozbawieni zaopatrzenia wojskowi medycy uciekali się do przerażających, niemal średniowiecznych metod leczenia: rutynowo wypalali rany, ignorowali oznaki zakażeń, a złamania leczyli na oślep. Świadectwem tej wojennej jatki jest wznowiony przez Znak tom „Chirurg na wojnie” (pierwotnie ukazał się w 2004 r. w wyd. Magnum).

Najpierw ideologia

Jeśli wierzyć Killianowi, który w latach 1941-1943 przebywał na froncie wschodnim jako chirurg konsultant niemieckiej 16. Armii, nieraz ryzykował życiem, by docierać do szpitali w oblężonych przez Armię Czerwoną miastach. Walczył nie tylko na salach operacyjnych, ale też otwarcie konfrontował się z przełożonymi, dla których – jak pisze – „ideologia nazistowska była ważniejsza niż ludzkie życie”.

Jego wspomnienia są czymś więcej niż świadectwem rozwoju, a właściwie upadku medycyny wojskowej. To wstrząsająca opowieść o granicach ludzkiej wytrzymałości, lojalności i odpowiedzialności w świecie, gdzie – jak pisał – „życie i śmierć dzieli często tylko kilka sekund”.

Krwawe realia wojny

„Chirurg na wojnie” to także dowód na logistyczną i humanitarną katastrofę niezwykłego Wehrmachtu. Książka brutalnie weryfikuje mit o świetnie zorganizowanej armii niemieckiej, pokazując, że na Wschodzie system opieki nad rannymi praktycznie nie istniał. Czas cofnął się tam do rzezi w Lesie Teutoburskim.

Killian, służąc jako chirurg konsultant, był wielokrotnie świadkiem sytuacji, w których brak podstawowych leków i narzędzi skutkowało śmiercią rannych żołnierzy. To zapis wojny widzianej nie przez pryzmat map sztabowych, ale przez krew, ból i całkowitą bezradność wobec potęgi nadciągających i bezwzględnych Rosjan.

Trudno zszywać tętnicę, gdy z zimna nie można utrzymać w dłoniach narzędzi, a jedynym skutecznym narzędziem amputacji jest siekiera. Do tego ranni traktowani są gorzej niż zwierzęta pociągowe, bo te dają choć cień szansy na ucieczkę na tyły.

Trzy rosyjskie zimy

Wspomnienia Killiana zaczynają się od tego, że „nadgorliwy dowódca oddziału sanitarnego w Strasburgu, nerwowo psychiatra, kazał mi natychmiast ruszać w drogę – w długą, męczącą podróż w piekielnym skwarze, z wieloma przesiadkami, wśród chaosu i rozgardiaszu – do stolicy Litwy Kowna, niedawno zajętego przez nasze wojska”.

Kończą w momencie, gdy Niemcy cofają się z Kurlandii. „Zaciełki opór naszych dzielnych żołnierzy podczas trzech rosyjskich zim nie zdał się na nic. W wyniku ogólnej kapitulacji dostali się oni do niewoli. Rosjanie wzięli straszny odwet. Tysiące jeńców niemieckich umarło z głodu i zostało zamęczonych”.

Armia III Rzeszy miała podbić świat, a nie była w stanie zapewnić opieki medycznej swoim żołnierzom – podsumowuje gorzko Killian.

Bożydar Brakoniecki



Hans Killian, „Chirurg na wojnie. Zapiski z piekła frontu wschodniego”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł

HISTORIA/II WOJNA

„Zdejmowałem dzieci ze sztachet...” i inne opowieści

Dr Damian Markowski, historyk-sowieolog, specjalizujący się w dziejach Europy Wschodniej, jest autorem wydanej właśnie książki „Strybki. Z AK pod skrzydła NKWD”. Rzecz bez precedensu, rzucająca nowe światło na jeden z najbardziej bolesnych rozdziałów XX-wiecznej historii Polski. „Strybki”, „Strybko-wie”, to zaczerpnięte z języka ukraińskiego określenie młodych Polaków, którzy wstąpili w szeregi Batalionów Niszczycielskich NKWD, żeby walczyć przeciw UPA.

Na służbie u Sowietów?

O Strybkach, dowodzonych przez sowieckich oficerów, a którzy bronili osaczonych przez banderowców wiosek na Podolu i Wołyniu, a niekiedy po prostu mścili się za doznane krzywdy, trudno było się dotąd dowiedzieć. Oficjalna historiografia na ich temat milczała: no bo jakże to? Polacy sprzymierzeni z Sowietami?

Pierwszy wspominał o nich Piotr Zychowicz pisząc, że Polacy pozostawieni zostali przez Państwo Podziemne sam na sam z żądnymi krwi Ukraińcami. Spotkało się z wielkim hejtem „prawomyślnych patriotów”, którzy historię widzą jedynie w czarno-bieli. A sama myśl, że coś wykracza poza ten moralny schemat wywołuje u nich „moralne oburzenie” i podobne symptomy.

A przecież historia Strybków to nie tylko świadectwo – jak pisał publicyści – „okrucieństwa wojny”, ale także dowód na to, że nawet w najtrudniejszych okolicznościach ludzie nie pozostawali bezwolni. Przeciw rezynom z UPA sprzymierzała się na Wołyniu z największymi wrogami, bo przecież nie tylko z Sowietami, ale i Niemcami. Co też zasługuje na dokładne historyczne omówienie.

Książka jest w księgarniach i już sam ten fakt zmusza nas do zajęcia się niewygodnym dotąd tematem. A pora na to najwyższa.

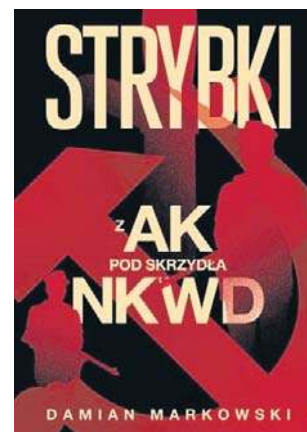
I co z tym zrobimy?

„Kilka tysięcy Polaków (głównie na Polesiu Wołyńskim) walczyło w szeregach partyzantki sowieckiej. W obawie przed UPA Polacy szukali tam pomocy i schronienia dla swoich rodzin. Z tych samych powodów latem 1944 r. co najmniej kilka tysięcy Polaków znalazło się w szeregach podporządkowanej NKWD sowieckiej milicji pomocniczej, tzw. »istriebitielnych batalionach«. Kwestią sporną jest, na ile owe »bataliony niszczycielskie«, które działały do początku 1945 r., ochraniały Polaków przed UPA, na ile prowokowały ją do dalszych działań”.

To cytat z tekstu „Ludobójstwo OUN-B i UPA na Polakach” ze strony Instytutu Pamięci Narodowej, a pytanie o sens walki Polaków u boku Sowietów znajduje odpowiedź właśnie w „Strybkach”. Kilkanaście tysięcy ludzi (byli wśród nich także Żydzi) miało najwyraźniej powód, żeby dogadać się z tymi, od których powinni trzymać się z daleka. Ci, którzy jeszcze żyją, mówią o tym w książce dr. Markowskiego bez ogródek.

„Wśród moich rozmówców nie było osób uderzających w patriotyczne, górnotone tony. Pod tym względem byli zupełnie inni od weteranów warszawskiej AK, tych z pokolenia Kolumbów, z powstańczych barykad, z wiary »Zośki« i »Parasola«... (...) U byłych Strybków przeważały przynębienie, smutek. Nie jest to opowieść zwycięzców (...) Zegar historii nieubłaganie odmierzając czas” – sumuje autor.

Mariusz Grabowski



Damian Markowski, „Strybki. Z AK pod skrzydła NKWD”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 79,99 zł

RYNEK PRACY SIEĆ SKLEPÓW OFERUJE PRACOWNIKOM PONAD 20 PROGRAMÓW SOCJALNYCH I BENEFITOWYCH

Znana sieć sypnęła podwyżkami. Sprzedawca zarobi nawet 6400 zł

Agnieszka Kamińska
Strefa biznesu

Ponad 70 tys. pracowników sieci Biedronka w sklepach i centrach dystrybucyjnych otrzyma od 1 stycznia 2026 r. wyższe wynagrodzenia.

Pracownicy sieci Biedronka od stycznia 2026 r. otrzymają wyższe pensje. Wynagrodzenia wzrosną o 400 zł brutto, co dla początkującego sprzedawcy-kasjera może dać kwotę 5 800 złotych brutto. Zwiększeniu - do 500 złotych brutto - ulega też comiesięczna potencjalna premia. Na przykład sprzedawca-kasjer, rozpoczynający pracę w sieci, zarobi od stycznia od 5300 zł do 5650 zł brutto. Dołączając pozostałe składniki wynagrodzenia może otrzymać nawet 5800-6150 złotych brutto. Z kolei pracownicy, którzy mają staż powyżej 3 lat zainkasują od 5450 zł do 5900 zł brutto podstawy, co wraz z potencjalną premią przełoży się na 5950-6400 zł brutto.

Firma przeznaczy na same podwyżki dla pracowników ponad 200 milionów złotych



Firma przeznaczy na same podwyżki dla pracowników ponad 200 milionów złotych w skali roku

w skali roku. - Zwiększając wynagrodzenia, doceniamy zaangażowanie tysięcy pracowników, którzy każdego dnia udowadniają, że odpowiedzialność wobec siebie nawzajem i naszych klientów stanowi funda-

ment naszego sukcesu. W tym roku zdecydowaliśmy się nie tylko podnieść bazową pensję, ale też podwoić kwotę potencjalnej premii. Biorąc pod uwagę całościową ofertę dla pracowników, Biedronka nie ma sobie

równych na rynku handlu detalicznego - mówi Jarosław Sobczyk, dyrektor personalny i członek zarządu sieci Biedronka.

Ile dokładnie można teraz zarobić w Biedronce? Sprzedawca-kasjer, rozpoczynający pracę

w sieci, zarobi od stycznia 2026 r. od 5300 zł do 5650 zł brutto. Dołączając pozostałe składniki wynagrodzenia może to być nawet 5800-6150 złotych brutto, co jest - jak wskazuje Biedronka - najwyższą kwotą na rynku. Natomiast pracownicy, którzy mają staż powyżej 3 lat zainkasują od 5450 zł do 5900 zł brutto podstawy, co wraz z potencjalną premią przełoży się na 5950-6400 zł brutto. Początkujący kierownik sklepu dostanie nie mniej niż 7450 zł brutto, a wliczając czynnik zmienne nawet 9250 zł brutto, zaś zastępca kierownika sklepu zarobi nie mniej niż 5 950 zł brutto, a uwzględniając wszystkie zmienne daje to kwotę 7050 zł brutto.

Wynagrodzenia zwiększą się także pracownikom centrów dystrybucyjnych sieci Biedronka. Magazynier z najmniejszym stażem będzie mógł liczyć na 5500 - 5800 zł brutto, a inspektor ds. administracyjno-magazynowych na 6400 - 7000 zł brutto podstawy. Kwoty uwzględniają nagrody za brak nieplanowanych absencji, ale nie zawierają pozostałych zmiennych elementów płacy.

Firma przeznaczyła rekordową kwotę - blisko 200 mln złotych - dla pracowników i ich rodzin. Biedronka przygotowała 171 600 paczek, w tym 88 500 dla pracowników oraz 83 100 dla dzieci, dostosowanych do czterech kategorii wiekowych. Łączna wartość paczek dla pracownika to ok. 630 zł, a dla dziecka - ok. 360 zł. Elementem pakietu świątecznego jest także udział w przyjęciu świąteczno-noworocznym oraz zasilanie e-kodów.

W sumie w ciągu roku dzięki e-kodom do pracowników Biedronki trafiło dodatkowo od 1480 do 1720 zł na osobę w zależności od progu dochodowego. Pracujący dla Biedronki otrzymują też m.in. nagrodę specjalną E.A. Soaresa dos Santos - w kwietniu 2025 r. w wysokości 4000 zł brutto. Sieć Biedronka oferuje ponad 20 programów socjalnych i benefitowych. Właścicielem Biedronki jest Jeronimo Martins Polska. Biedronka jest największą siecią detaliczną w Polsce i największym prywatnym pracodawcą. Zatrudnia ponad 80 tys. osób. Wartość inwestycji Jeronimo Martins w Polsce od 1995 r. to ponad 14 mld zł.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprząający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE
BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie
zlecisz przez Internetowe Biuro
Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny,
1400 zł, w górach koło Wadowic,
tel.: 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →

sk stronaKOBIEt



O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

AUTOREKLAMA

nasze
komunikaty.pl

Koci finał Pucharu Narodów Afryki 2025: „Lwy Tarangi” kontra „Lwy Atlasu”

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Senegal i reprezentacja gospodarzy zagrają w niedzielny finał Pucharu Narodów Afryki 2025 w Maroku. Dzień wcześniej w meczu o trzecie miejsce zmierzą się Egipt i Nigeria.

W pierwszym półfinale Senegal pokonał w Tangerze Egipt 1:0 po trafieniu w 78. minucie Sadio Mane, byłego skrzydłowego Liverpoolu, gdzie grał w ataku u boku napastnika „Faraonów” Mohameda Salaha.

Mane, który ogłosił, że PNA 2025 w Maroku będzie jego ostatnim w karierze, sforsował „autobus”, jaki Egipcjanie postawili przed swoją bramką. „Salah w spotkaniu nie dotknął ani razu piłki w polu karnym „Lwów Tarangi”. Zawiodł także gwiazdor Manchesteru City Omar Marmoush.

Z kolei gospodarze – „Lwy Atlasu” – w Rabacie mieli wyraźną przewagę w starciu z Nigerią. Oddali 16 strzałów, a ry-

wale 2, ale awans wywalczyli dopiero po konkursie rzutów karnych, w którym zwyciężyli 4:2, a dwie „jedenastki” obronił specjalista od karnych Yassine „Bono” Bounou, wybrany MVP meczu. Po 90 minutach oraz dogrywce był bezbramkowy remis.

Obaj finaliści staną przed szansą na swój drugi triumf w tym turnieju. Senegal wywalczył jedyny dotychczasowy tytuł w 2022 roku w Kamerunie, a Maroko czeka na taki sukces od 50 lat.

Cociekawe, Senegal z Marokiem w PNA zmierzą się ze sobą po raz pierwszy w historii.

Pokonani w półfinale zagrają w sobotę w Casablance o brązowy medal. Mecz o tytuł odbędzie się dzień później w Rabacie. ©

PUCHAR NARODÓW AFRYKI

Półfinał: Senegal - Egipt 1:0 (Mane 78), Nigeria - Maroko 0:0 (karne 2-4).

Mecz o 3. miejsce: Egipt - Nigeria (sobota, 17 stycznia, godzina 17).

Finał: Senegal - Maroko (niedziela, 18 stycznia, godzina 20).



Wielka trójka Marokańczyków: bramkarz Yassine Bounou, trener Walid Regragui i kapitan Achraf Hakimi

Iga, „Hubi” i pozostali Polacy poznali rywali w Melbourne

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Iga Świątek rozpoczyna się w niedzielę Australian Open rozpocznie od meczu z kwalifikantką, Chinką Yue Yuan. Losowanie drabinek turnieju głównego odbyło się w czwartek.

Iga Świątek w pierwszej rundzie Wielkiego Szlema w Melbourne trafiła na Yue Yuan, która plasuje się na 130. miejscu w światowym rankingu, ale była w nim niegdyś 36. Iga z 27-letnią Chinką zmierzyła się dotychczas raz: pokonała ją 6:0, 6:3 w drugiej rundzie imprezy WTA w Pekinie. Najlepszym wynikiem Yuan w Wielkim Szlemie pozostaje trzecia runda w Nowym Jorku z 2022 roku.

W przypadku wygranej w drugiej rundzie na Świątek czekać będzie ewentualnie Czeszka Marie Bouzkova (45. WTA) bądź Meksykanka Renata Zarazua (84. WTA).

W „czwartce” polskiej wiceliderki światowego rankingu znalazły się między innymi Rosjanka Ludmiła Samsonowa, Japonka Naomi Osaka (prowadzona przez byłego trenera Świątek Tomasa Wiktorowskiego), Szwajcarka Belinda Bencić, z którą kilka dni temu przegrała w trakcie United Cup, ale przede wszystkim rozstawiona z „piątką” Jelena Rybakina z Kazachstanu, która czekać może na Polkę w 1/4 finału.

Najmniej szczęścia w losowaniu miała z reprezentantów Polski Magda Linette. 33-letnia poznanianka, która wciąż uczestniczy w turnieju w Hobart, w Melbourne zacznie od pojedynku z rozstawioną z numerem 15. Amerykanką Emmą Navarro.

Będzie to ich druga konfrontacja; z byłą ósmą tenisistką



Iga Świątek i Hubert Hurkacz poznali swoich rywali po losowaniu drabinek gier singlowych Australian Open

globu Polka zmierzyła się już w 2. rundzie turnieju w Toronto w 2024 roku i przegrała 2:6, 4:6.

Najlepsze osiągnięcie Linette w Melbourne i jednocześnie Wielkim Szlemie to półfinał edycji 2023. Navarro to z kolei półfinalistka US Open 2024, a przed rokiem w Australian Open osiągnęła ćwierćfinał, w którym gładko uległa... Świątek.

Z kolei Magdalena Fręch trafiła na 99. w świecie Veronikę Erjavec. Będzie to jej pierwszy pojedynek z grającą po raz trzeci w Wielkim Szlemie 26-letnią Słowenką.

Podopieczna trenera Andrzeja Kobierskiego, która z powodu lekkiego urazu, ale bar-

dziej profilaktycznie, wycofała się z imprezy w Hobart po wygraniu pierwszego spotkania, ma miłe wspomnienia z Melbourne. Dwa lata temu dotarła do 1/8 finału (czwarty etap), a przed rokiem odpadła rundę wcześniej. To jej najlepsze wyniki w zmaganiach wielkoszlemowych – razem z 3. rundą ubiegłorocznego US Open.

W kolejnej rundzie może na Fręch czekać Włoszka Jasmine Paolini (nr 7.).

W czwartek awans do zasadniczej części zmagania wywalczyła pochodząca z Czech, ale reprezentująca od ubiegłego roku Polskę Linda Klimovičova. Krótko przed ceremonią losowania Klimovičova wygrała

trzeci mecz w kwalifikacjach i po raz pierwszy w karierze przebiła się do głównej części zawodów wielkoszlemowych.

Po dołowaniu do drabinki głównej zwyciężczyni kwalifikacji okazało się, że Linda zagra z 25-letnią Brytyjką Francescą Jones, która zajmuje 69. lokatę na liście światowej. Reprezentantka Polski plasuje się 65 miejsc niżej.

Wracający do wielkoszlemowej rywalizacji po półrocznej przerwie Hubert Hurkacz na otwarcie zagra z 43. w rankingu ATP Belgiem Zizou Bergsem. Będzie to ich premierowe spotkanie.

W drugiej rundzie przeciwnikiem Wrocławianina może być Tallon Griekspoor, którego pokonał w United Cup, a na łączny bilans 4-2 składa się między innymi zwycięstwo przed rokiem w Melbourne, kiedy „Hubi” odpadł w drugiej rundzie. Rozstawiony z numerem 23. Holender musi wcześniej pokonać Amerykanina Ethana Quinna.

W Australian Open Hurkacz najdalej – do ćwierćfinału – dotarł w 2024 roku.

Kamil Majchrzak zmierzył się w pierwszej rundzie z Jacobem Fearnleyem. Polak zajmuje najwyższe w karierze, 58. miejsce w świecie, a Brytyjczyk jest aktualnie 77. tenisistą globu.

Do tej pory spotkali się raz: w 2024 r. w kwalifikacjach halowej imprezy w Sztokholmie górą był zawodnik z Worcester, który w czerwcu zeszłego roku na tydzień zagościł w TOP 50 rankingu ATP.

Zyciowym sukcesem 30-letniego Polaka w Wielkim Szlemie jest 1/8 finału ubiegłorocznego Wimbledonu. W Melbourne tylko raz – w 2022 roku – dotarł do drugiej rundy.

©

Bednarek bohaterem klasyku. FC Porto wyrzuciło Benfikę Lizbona

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

FC Porto awansowało do półfinału Pucharu Portugalii po wyeliminowaniu Benfiki Lizbona (1:0). Bohaterem został polski obrońca Jan Bednarek, który zdobył bramkę w pierwszym kwadransie.

Ćwierćfinałowemu hitowi na wypełnionym po brzegi Estádio do Dragão z ławki rezerwowych przyglądał się 17-letni skrzydłowy Oskar Pietuszewski, najdrożej sprzedany

piłkarz w historii Jagiellonii Białystok. Dla młodzieżowego reprezentanta Polski mógł to być wymarzony debiut, jednak trener Francesco Farioli najwyraźniej nie chciał rzucać go na (zbyt?) głęboką wodę. Zwłaszcza że FC Porto mierzyło się w klasyku z inną, równie utytułowaną ekipą – Benfiką.

Od pierwszej minuty na murawie oglądaliśmy dwóch czołowych reprezentantów Polski: Jana Bednarka i Jakuba Kiwiora. Wspólnie z legendą brazylijskiej piłki Thiago Silvą

nasi reprezentacyjni stoperzy współtworzyli blok defensywny.

Już w 15. minucie Bednarek wpisał się na listę strzelców. Środkowy obrońca najlepiej odnalazł się w polu karnym po dośrodkowaniu z rzutu różnego i skutecznym strzałem głową pokonał bramkarza Benfiki.

Podopieczni José Mourinho długimi momentami nie potrafili odpowiedzieć – nie tyle golem, co choćby celnym uderzeniem na bramkę Diogo Costy.

Po przerwie z powodu kontuzji plac gry musiał opuścić strzelec bramki – Bednarek. Jedynym Polakiem, który dotrwał do końcowego gwizdka, był zatem Kiwior.

To nie jego na koniec meczu uznano jednak bohaterem, a bardziej doświadczonego reprezentacyjnego kolegę, który zebrał najwyższe noty.

Portugalskie media zwróciły uwagę, że występ Bednarka nie był pozbawiony ryzyka. Już na początku spotkania środkowy obrońca popeł-

nił bowiem błąd, który musiał naprawiać faulem.

„Popełnił poważny błąd w 11. minucie, który naprawił faulem, za co został ukarany żółtą kartką i ryzykował nawet czymś więcej. Później przeszedł w tryb czysto pragmatyczny, skutecznie przerywając wszystkie akcje przed sobą i ostatecznie miał pozytywny wkład w zwycięstwo zespołu z Porto” – ocenił dziennik „A Bola”.

Z kolei Kiwiora media określiły mianem „hojnego dostarczyciela fauli”.

„Wbrew temu, do czego przyzwyczaił, był hojnym »darczyńcą« przewinień. Jego drużyna popełniła łącznie 22 faule w trakcie meczu. Podobnie jak jego rodak i partner z defensywy, Bednarek, nie przejmował się estetyką gry, co pozwoliło Diogo Coście mieć spokojniejszy wieczór. Szczególnie w pierwszej połowie zanotował także kilka udanych prób przy rozegraniu piłki” – podkreślono przy ocenach wystawionych w dzienniku „A Bola”.

©

SŁOWNIK: AGATON, ARAWAK, BRANCO, KWERES, RAND.

ROZWIĄZANIE: UNIKAĆ TRUDNOŚCI TO CIEŻKA PRACA.

APARTAMENTY NOWY MARYSIN VII

APM
DEVELOPMENT



SUPER OFERTA! BOGATY WYBÓR MIESZKAŃ

☎ 693 90 90 60

✉ sprzedaz@apm-development.pl